№ 3 Warszawa, dnia 3 (15) Stycznia 1881 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

OSIEŁ.

POEMAT SATYRYCZNY WIKTORA HUGO

przez S. D.

Od kilku miesięcy, Paryż oczekiwał niecierpliwie na nowy poemat Wiktora Hugo. Omyłka w ogłoszeniu dziennikarskiem, tembardziej intrygowała publiczność. W języku naszym *Osieł* nie ma żadnego związku z *duszą*; w francuzkim zaś przeciwnie, jedna litera tylko, a raczej jedna kreska w literze, stanowi całą różnicę. Jedne więc dzienniki zapowiadały *duszę*, inne tymczasem obiecywały *osła*, publiczność nie wiedziała sama czego się trzymać:

> Ogół wygląda skwapliwie *duszy*,
> Z kwieciem na wieniec uwitem,
> W tem osieł długie pokazał uszy,
> Ryknął i wierzgnął kopytem.

Straszno w rzeczy samej ryczy ów osieł; złośliwie wyzywa do walki wszystkich uczonych świata, gniewnie tratuje kopytami wszystkie papyr u sy,argaminy i księgi nakreślone przez szkolnych pedantów. Z pod ogólnej klątwy, wyjęci, jedynie Homer, Eschyles, Dante i Szekspir. Osieł przemilczał o nich, nie przemilczał za to o Biblii; chłoszcze ją zarówno z Talmudem i Alkoranem. Mimo to jednak, tu i owdzie, chwyta z księgi Bożej aforytyczne sentencye. To pyta słowami Hioba: „a wieszli człowieku pyszny z mądrości twojej, jakiemi drogami chadzają uragany? to powtarza za Solomonem: *Vanitas vanitatis*.

Szczególny gniew wywiera osieł na wielkie foliały; jeżeli uderza z całą wściekłością na tajemniczych *Hierofantów*, na zagadkowe *sfinksy*, i szczelnie zwarte *Bastylie*, względniejszym jest za to dla małych książeczek, tych psótnych *uliczników*, co śpileczkami rozrywają żelazne rygle fortec. „Strzeżcie się, woła, owej hałastry, ona wszystko zburzy i puści z dymem. Diderot maleńki, rozwala stosy Augustynów i Chryzostomów. Biada wielkiej księdze, jeśli *pchła* zbrojna sztyletkiem, wyzwie ją do walki i ośmieszy po świecie. I któż jest tą *pchłą*, z którą poeta widocznie dziś sympatyzuje? To Wolter, którego Wiktor Hugo, trzydzieści lat temu, w całym blasku geniuszu, schłostał piorunującym poemacikiem: *Rzut oka na poddasze.* Oto są jego słowa:

> Na półkach starej szafy wśród kurzy i pleśni,
> Tarza się stara książka pełna sprosnych pieśni;
> Ktoś wsunął tu zatruty płód zeszłego wieku.
> Rządziła wtedy światem z poręki szatana,
> Ta *małpa genialna* Wolterem nazwana,
> Pojęcie prawd odwiecznych burzyła w człowieku.
>
> . . . .
>
> Strzeż się dziecię! ach! jeszcze palące powiewy
> Nie tknęły duszy twojej! strzeż się córko Ewy!
> Wolter wąż jadowity, złośliwy szyderca,
> Do twej błogosławionej zakradł się ustroni,
> Płomienistą źrenicą każdą myśl twą goni,
> Strzeż się, nim jad zatruty wsączy ci wgłąb serca!

Tak przemawiał niegdyś genialny poeta, dziś wiatr inaczej powiał, chorągiewka w inną odwróciła się stronę!

Chcielibyśmy przedstawić poemat, z jakimkolwiek bądź systematem, ale jak tu nie utonąć w tym steku paradoksów i napuszystych metafor, w tym nawale nazwisk dobieranych nie do sensu, ale raczej do rymu, jak kamyki w mozajce. Poeta rzuca je tysiącami.

Bohaterem poematu jest osieł. Przychodzi on do Kanta; wymawia mu gorzko, że z całym szeregiem mędrców starożytnych i nowoczesnych, zamącił źródło prawdy, przyćmił słońce, przyświecające światu. Skarga osła przypomina monolog faustowski.

„Zbadałem wszystko, mówi długouchy pessymista, przewertowałem stosy foljałów, pożerałem rzeczywistość; zakosztowałem ideału. Zbierałem szumowiny z czarnego kotła, w którym nauka, to wiedźma warzy swoje blekoty. Idę na oślep, przedemną ciemność, profesorowie aby zwiększyć ją jeszcze, dolewają czarnego płynu z kałamarza. W koło przerażająca wrzawa: nieuctwo *rży*, nauka *ryczy*, wiedza *chrapie*, sztuka *skrzeczy piskliwie*.

„Wyobraźmy sobie wieżę Babel, olbrzymi wiatrak o czterech śmigach. Po drabinie wspinają się mędrcy; jedni niosą na plecach worki pełne ksiąg, inni miechy nadęte sennemi marzeniami. Fundamenta wieży tej sięgają czeluści piekielnych, szczyt wybiega wyżej obłoków. Wysoko w oknie stoi dyabeł i śmieje się z wysiłków ludzkich. Śmigi wirują z łoskotem. Śmierć młynarz, wyrzuca na wiatr zmielone plewy, dyabeł szydzi, a ludzie stoją opodal z otwartą gębą i połykają chciwie to miewo."

Po takich ogólnikach, osieł przechodzi do szczegółów; przegląda księgozbiory i cóż tam widzi? Oto rozum ludzki w cielęcej oprawie, ideę rozdętą do rozmiarów księgi, jak ową żabę w bajce Ezopa, co chciała stać się wołem: „Wszystko co najlepszego powiedzieć można o książkach oto że nieprzydatne na nic".

Po Bibliotekach przyszła kolej na ciała naukowe. Ta akademia, do której przed laty czterdziestu Hugo wstępował pełen uszanowania, czemże stała się w jego oczach? Oto *nieśmiertelną oślarnią* do której *gęś* wprowadza *indykę*, i wita ją śmiesznym panygierykiem. „Zaprawdę! woła on, kiedy do Sanhedrynu niebieskiego wchodzi kometa między miryady gwiazd promienistych, słońce z większą

pompą nie wita nowego przybysza, jak te pyszałki witają jedni drugich.”

Nieśmiertelna oślarnia, ciągnie autor, cieszy się, kiedy jakiś podróżny pedant, przyniesie na pokaz olbrzymią mrówkę, nieznaną Lineuszowi, albo jakąś kość mamutową! Ale niechże genialny przybysz z krainy piorunów i błyskawic, przyniesie olbrzymią ideę, niech nowy Prometeusz odkradnie słońcu promień: biada zuchwalcowi. I wylicza wszystkich Newtonów, Kartezyuszów, Kolumbów, Sokratesów, pominął tylko Kopernika.

W pośród tych niezrozumiałych geniuszów, którymi ludzie pomiatają, bo niedorośli do nich, poeta widzi przedewszystkiem sam siebie. Hołdy i wieńce tak hojnie odebrane, wystarczyć mu nie mogą, bo wśród wrzawy pochwalnej dosłyszał kilka surowych głosów, wybiegłych z łona akademii, ztąd to piorunująca kanonada przeciw pedantom szkolnym.

„Człowieku! woła osieł, synu Giganta i małpy! zdartym przyodziany łachmanem; z wierzchu tylko przysłania cię purpura z fałszywej utkana mądrości. Zapalże trochę światła w czarnym twym mózgu! masz wszystko: słowo, pismo, bussolę, parę i druk, skalpel i kompas, wykrzeszże z głowy choćby drobną iskierkę! nie możesz... rutyna ubezwładnia cię całkiem.”

Los dziatek szczególną przejmuje go litością. „Biedne dziateczki, utyskuje osieł, obciążają je księgami, niby potwornem *wole*, ciągną je, szamoczą niemi to w lewo to znów w prawo! Widziałem sam, jak naczelny pedagog, wchodzi między grono pedantów, trzymając w szponach przestraszoną szczyckę, słyszałem jak woła na nich: „oskubcież mi ją prędko.” I powolni na głos mistrza, dalejże wyrywać po piórku i oskubaną zanurzać w atramencie i dostrajać do miary swojej.“

W liczbie potępionych wszechnic, obok upsalskiej, sorbońskiej, wymieniona także i krakowska. Poeta zasłyszał niewątpliwie, że jeden z mistrzów naszej *alma mater*, w odpowiedzi na bluźnierstwa głoszone przez poetę w *straszliwym roku*, zawołał z oburzeniem: *Kłamiesz jak pies*! Słowa te wcale nie akademickie zapisał Wiktor Hugo w pamięci i w danej chwili ugodził piorunem, w mury Jagiellońskiego uniwersytetu.

Chciałbym woła osieł zgromadzić razem:
Wszystkie świata mumie, wszystkie kościotrupy,
Ze wszystkich jaj rozbitych plugawe skorupy,
Wszystkie mgły, wszystkie chmury, wszelki tor [zdeptany,
Na wydmach, gdzie bezmyślne chadzają barany,
Wszystkie odwieczne kije, któremi ślepota
Wspiera kroki na błędnych manowcach żywota,
Muły ze wszystkich bagnisk cuchnących po świecie,
I ze wszystkich zaułów zgromadziłbym śmiecie,
I rzekłbym: niech się zbiegnie rzesza wiedzy [chciwa,
Oto ludzkiej mądrości wystawa prawdziwa.

Te argumenta ośle, dobodły Kanta do żywego. Filozof spuścił w milczeniu głowę, nie wie co odpowiedzieć. Sam tylko poeta patrzy bez trwogi na ten pomrok rozpostarty nad ziemią. On lotem orlich skrzydeł wzbił się nad mgły i chmury; podczas gdy głupi pedanci szukają słowa w zbutwiałych pargaminach, by rozwiązać zagadkę przyszłości on podsłuchał co gwarzy grom z błyskawicą. Czoło jego płonie olimpijskim spokojem nieśmiertelnych.

Pomimo kilku rozsianych tu i owdzie połysków, trudno dopatrzyć w tym poemacie geniuszu Wiktora Hugo. Jest to poprostu złośliwy pamflet wymierzony przeciw tym, którzy nie zgięli kolan przed bożyszczem i odmówili mu szczypty kadzidła!

Inaczej poeta przemawiał o księgach przed dziesięcioma laty. Aby pokazać całą sprzeczność dawnych i dzisiejszych jego pojęć, przytaczamy tu maleńki poemacik, skreślony zaraz po komunie w obec zgorzałej biblioteki Louvru. Jest to rozmowa poety z podpalaczem:

—Ty spaliłeś księgozbiór?
—Tak wśród nocy ciemnej
Sam podłożyłem płomień.
—Zbrodniarzu nikczemny!
Zmącone twe pojęcia szał piekielny głuszy,
Wieszli ty że zabiłeś promień twojej duszy,
Zdmuchnąłeś sam rozumu twojego pochodnię,
To, co ty nikczemniku zburzyłeś wyrodnie,
Było drogim twym skarbem, twą świętą chudobą:
Księga wszędzie i zawsze świadczyła za tobą,
Bo i czemże księgozbiór? To wyznanie wiary
Zmarłych dawno pokoleń, co przez pomrok szary
Swych grobów, świadczą zorzy wschodzącej nam [jasno!
W on skarbiec prawd, gdzie mędrce złożyli myśl [własną,
W te arcydzieła twórczej potęgi człowieka,
W tę hekatumkę czasów, gdzie z pod trumny [wieka
Świeci złota nić podań którą przędą dzieje;
W tę przeszłość, co przyszłości zakreśla koleje,
W to źródło, co bystremi roztacza się rzeki,
W to, co raz się poczęło i trwać będzie wieki,
W te otchłanie biblijne, w te prorocze chóry,
W owych Hiobów, co głowy dźwigają nad chmury,
W Homerów, w Eschilesów, co czołem w lazurze
Kreślą zapasy bogów i serc ludzkich burze;
W Molierów i Kantów, w czystej myśli łono
Ty rzucasz nikczemniku pochodnię zatloną,
I wszystek rozum ludzki, ty opętan szałem,
Zamieniasz w tuman dymu!
W pasmie wieków całem,
Kto był rzecznikiem twoim? Księga zawsze księga!
Ona, stóletnie węzły przesądów rozprzęga,
Ona świeci jak słońce! Z niej świat blaski bierze,
Nią zwalczy głód i pomór, powali pręgierze,
Na głos jej z karku Negra twardy powróz zleci,
I Paria się strzęśnie z swych wiekowych śmieci,
Otwórz księgę, odczytaj Platona, Kornela,
Szekspira i Dantego; cudnież się udziela
Ich wielki duch twej myśli, z uśpienia ją budzi,
I czujesz się człowiekiem na modłę tych ludzi!
Czytasz i poważniejesz, i marzysz radosno,
Czujesz jak w duchu twoim te olbrzymy rosną,
W miarę jak płomień wnika do dna duszy twojej,
Podnosi ją, ukrzepia, ożywia i koi.
Już myśl twoja porwana prądem myśli nowej
Gotowa odpowiedzieć i czynem i słowy.
I czujesz się być dobrym, potem lepszym jeszcze;
Jak śnieg taje na słońcu tak widma złowieszcze,
Wściekłej pychy, przesądów topnieją powoli,
Wpływ wiedzy cię uzacni i z błędów wyzwoli;
To światło co nad ziemią rozprasza mrok ciemny,
Ty śmiesz gasić twą ręką zbrodniarzu nikczemny,
Cel, za którym szalony gonisz tak zażarcie,
Rozwiązali go mędrce wprzód na księgi karcie,
Księga myśl twą przenika, w błędnych rojeń [tłumie
Ona prawdę od kłamstwa rozróżnić w niej umie;
Ona gordyjski węzeł w sumieniu twem przetnie,
Ona ciebie uleczy, z tych trędów, co szpetnie
Spługawiły twe serce nienawiści jadem,
Ona ci przewodniczy ty masz iść jej śladem;
Ona wytrzeźwi z szału twą głowę pijaną,
A ty wproch ją niweczysz ręką rozpasaną?
Księga twojem bogactwem, to twój skarbiec złoty,
Prawa, wiedzy i prawdy, postępu i cnoty,
Bez niej, Bożą iskierkę my w duszy przytłumiem,
A tyś ją zniszczył nędzny?
—Ja czytać nie umiem!

Na inny ton niestety, poeta nastroił dziś swą lirę! Ta księga, co prostaka czyniła człowiekiem, dziś zbydlęca osła samego.

Smutno patrzeć na ten zmierzch geniuszu, który przed sześćdziesięciu laty otworzył dla Francyi nowy potężny widnokrąg, i piorunem słowa poruszył ją do gruntu!

WESELE SONKI.

(Powieść z prawdziwego zdarzenia)

napisała

ROMANIA KAMIEŃSKA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Jak długo dwojga tych ludzi głowy
Były przy sobie bez ruchu, mowy,
Określić miarą któż się pokusi?
Wszak oni sami niemi i głusi,
Nie wiedzą wcale — wiedzieć nie mogą,
Czy nad tą chwilą rozkoszną, błogą,
Zawisa przestrzeń miary wszechświata,
Czy mgnienie błędnych ogniów ulata.

Długo nad nimi gwiazdeczka mała
Ruchliwem okiem drgała, migała;
Księżyc ust pełnią czerpał w wód wali,
A oni jeszcze w objęciach stali.
Płomiennych uczuć fala wezbrana,
Spotęgowując łona tętnienie,
Łączyła w jedno olbrzymie brzmienie
Dwóch sił porywy; oczy młodziana
Tonęły w zgasłem dziewczęcia oku,
Jak zorza dzienna w nocnym pomroku,
Nie czując wcale siły rozdziału:
Pojęcie znikło w odmętach szału.
„Gdyby czuć można będąc kamieniem,
Garsteczką żwiru, prochem lub cieniem,
By tak w objęciu twojem pozostać,
I bytem własnym wieczności sprostać,
Radbym się rozstał z mojem istnieniem —
Rzekł wreszcie wojak, pieszcząc dziewicę,
Której jutrzenka zbiegła na lice.
Tylem dni przeżył w więzach tęsknoty,
Pozbawion, Sonko twojej pieszczoty...
Czym żył? gdzie żyłem? jak żyłem? ile?
Zebrać pamięcią nie w mojej sile.
Przeżyłem wieczność, co głazy skrusza,
Na nędzną drzazgę wyschła mi dusza,
Jeszcze dzień jeden — życiabym nie miał,
Gdybym nie skonał byłbym skamieniał...
Lecz już skończone me niepokoje,
Masz Sonko serce i rękę moję —
Gdy czujesz szczęście, co drga w tem słowie,
Twa tkliwa dusza resztę dopowie.”
Sonka z pieszczoty rajskiej zbudzona,
W szeregu słów tych ujrzała nagle
Nawy zniszczenia rozpięte żagle,
I jak zbrodniarka lub potępiona.
Zwiesiła na dół zaćmione oczy —

W myślach jej czarno, w mózgu się mroczy.
„Mów mi kochana, jakeś tu żyła?
Myślałaś o mnie za mną tęskniła?
Szaleniec! czemuż pytam się jeszcze,
Gdy cię znów moją przy sercu pieszczę?
Przebacz!... rozłąka niesie chmur pełno...
Lecz już oddycham wiarą zupełną —
Tyś moja... wierz mi, przez pół rok cały
Bóle jak jędze wciąż mnie szarpały"...

Uśmiech goryczy zwił się na usta
Pobladłej Sonki; czasem myśl pusta,
Grzeszna, zbrodnicza, ta myśl zwątpienia,
Co już zdeptała Niebios wejrzenia,
Takim uśmiechem lice ozdabia —
W miejscu powabu bruzdy wyżłabia.

„Ten świat odmętów Sonko ci znany?"
Zapytał jeszcze po krótkiej chwili.
Podniesła oko, potrzęsła włosem,
I jak dźwięk arfy, gdy w dół się schyli,
Szepta stłumionym, posępnym głosem:

„Szczęśliwa boleść, co ma przemiany,
Kryjówki, gdzie się kolejno kryje!
Jest boleść, która jak wąż się wije
Po tętnach duszy, i w swe pierścienie
Chwyta, zahacza całe istnienie
Na zawsze"...

„Sonko! cierpiałaś tyle?
O moja luba czem ci te chwile
Bólu nagrodzę! mów, jak to było...
A serce tyle razy bluźniło!,..
Wierz — bez pamięci, bez snu spocznienia,
Biegłem by dotknąć twego wejrzenia,
Schwycić w niem promień rozkoszy znanej...
Lub w razie złego... Sonko!... tumany
Spłowiałych myśli bruździą mi duszę,
I ku nim jeszcze zwracać się muszę...
Przebacz! tyś moja... wszystko zwalczyłem,
Wszystkie przeszkody, tamy zniszczyłem —
Jeszcze dni kilka i aniołowie
Złożą swe lilje na naszej głowie"...

Dziewa patrzyła, słuchała, bladła,
Władnąc pojęciem, słowem nie władła;
Życie stanęło w nagim skielecie,
Myśl w zagrobowym błądziła świecie.
Z opartą głową o korę drzewa,
Gdzie wietrzyk liściom snu pieśnię śpiewa,
Ona wtórzyła pieśni swej duszy,
Echem rozpaczy, echem katuszy,
I długo stała patrząc w oddalę,
Nim głos jej targnął powietrza falę.

„Rozkoszne mary! tak potok marzy,
Gdy po nim suną łodzie żeglarzy —
Nagle tryskają burzy wulkany,
Piętrzą się fale, wzdymają piany,
I oto lśniąca szyba potoku,
Luba księżyca i słońca oku,
Zmienia się w brudną, wstrętną topielę,
Przepaść sternikom i łodziom ściele"...
„W duszy twej Sonko, czemu łez tyle?"
„Czemu tak późno?... gdy dłoń w mogile,
Co jej po berle?...

„Sonko, twe słowa
Straszne jak chwila, co świat pochowa...
Trudziłem życie... znasz jego dzieje?
Wróg mu się tylko chyba zaśmieje...
I mirt w mej dłoni... patrz — z łez stru-
[mienia,
Z suchotnych pragnień, z bolów płomienia —
Będzieszże miała siłę i wolę
Zd ptać go wzgardą?...

„To słowo obce
Jest mojej duszy... znam tylko bole,
Co niszcząc biorą życie po drodze...
„Dajesz mi mary, widma i cienie,
Ja pragnę słowa... straszne złudzenie!...
„Ty nie przeczuwasz, czem jest to słowo?
Zaklęte ono męką wiekową,
Wiedzie do czarnej grobów przedsieni —
Na niem rozwite królestwo cieni...
Nad czyjem uchem zabrzmi tak ono,
Tysiącem mieczów rozdarte łono,
Zrywa z nadzieją, z wiarą, rozkoszą...
Po za niem echa swe requiem głoszą,
Ścielą się długie żałobne szaty,
Bo ono sieje cmentarne kwiaty,
Które przechodzień święci wejrzeniem,
A dziecię do rąk bierze ze drżeniem!...
„Dziecię — śmierć — groby — kwiaty —
[cmentarze —
Czyjeż to myśli? co treść ich wskaże?
Sonko! ty cierpisz... możeś ty chora?
Już północ blizko — spoczynku pora!
A ty tu sama w tak dziwnym stroju...
Co tobie dziecię moje kochane?
Wychudłe lica — myśl w niepokoju —
Oczy jej wpadłe, zgasłe, spłakane,
Na głowie wieniec jakiś zgnieciony,
Włos zlany rosą i rozpuszczony...
Sonko! przez litość! nie męcz mię dłużej,
Jeśli masz pamięć... zginę w trwog burzy"...

„Zginiemy razem... jam już zginęła...
Zawcześniem kwiat ów rajski uszczknęła,
Który śmiertelnym dają niebianie,
Gdy ich rozkoszom miary nie stanie"...

„Słyszę cię, słucham i nie pojmuję...
Boleść ci słowa takie dyktuje?
Ty możesz boleć gdy ja w niebiosach?
I cóż groźnego jest w naszych losach?
Czego żałujesz, co widzisz w grobie?
Ja tylko rozpacz przynoszę tobie".
„Żal mi, mój drogi, tych dni świetlanych,
Cośmy przeżyli... widzeń różanych
Co nam jaśniały na życia ścieży —
Wszystko, ach wszystko w grobie już leży!..,
Nikt cię nie poznał, choć byłeś z nami,
Jam cię skreśliła serca słowami,
Lecz uczuć samych mało dla dzieła:
Nie stało ciebie i jam zginęła!..."

„Kto śmiał naruszyć pył twej odzieży,
W celu udręczeń lub naigrawania,
Niech się przed zemstą moją zasłania! —
Ten miecz mu prosto w serce uderzy...
Nie dręcz się, ucisz — pomszczę twe bole...
Jam cię ukochał jak oracz rolę,
W którą trud przelał życia własnego; —
Tyś tchnienie moje, dech tchnienia mego,
Wrogowi, luba, nie dam cię w ręce,
Choćby w rodzinie — jego poświęcę"...

„O nie bluźń!... w piersiach już milczą rany.
Głoś mi twe serce, mój ty kochany!
Słowa twe płyną jak dech anioła,
Co do wytchnienia po męce woła. —
O, już mi dobrze!... weź moje dłonie...
Czujesz jak ogień spokojnie płonie?
Burza już przeszła — byłam szalona...
Czem oni dla mnie? — mam twe ramiona...
Tyś mnie piastował, twojąm tak zrosła,
Łódź naszą jedne poniosą wiosła...
Złączone życie takie trwa długo —
Długo jak wieczność"...

Złotawą smugą
Księżyc zawisnął nad dziewy czołem
I zlał się w jedno z myśli promieniem,
Która strzelała szerokiem kołem
Z jej wejrzeń jasnych; brzozy swym cieniem
Całą jej składną postać okryły,
Twarz jej świeciła jak kwiat z mogiły.
Wojak pochwycił dziewczę w ramiona,
Zrzenica jego pała wzniesiona:
„Byłaś mi dzieckiem, gdym był piastunem,
Byłaś królową, gdym był twym sługą,
Teraz ty raju mego zwiastunem,
Posłanką nieba, co w groźnej chwili
Tęczowe skrzydło wiary nachyli,
I niem otoczy duszę znękaną...
Miłości naszej promienne rano
Już nie przeminie... O moja miła!
Więc uczuć twoich tak wielka siła?

„Ty pytasz luby, jak kocham ciebie?
Spytaj, gdy wiosna błyśnie na niebie,
Trawki, co z słońca czerpie istnienie,
Jak ona kocha słońca promienie?...
Tyś moją wiosną, tyś mojem słońcem,
Początkiem życia i jego końcem...
Gdy myślą tęskną błądzę po niebie,
Nie śmiem zapytać jak kocham ciebie —
Bo choć wyznania będą szczerością,
Zbluźnię niebiosom tą otwartością"...

„Wracasz mi życie, zbawienie, luba,
Powstaję z martwych — lecz jakaż próba!
Ból ziemski mierzon duchów wiecznością,
Co mi podarzasz swoją miłością
Ty sama nie wierz: to szczęście jasne
Bóg tylko zgłębi i serce własne!
Patrz — tam nad wodą siedziba stoi,
Nad nią się lipa gałęzią dwoi,
Obok ogródek kwieciem zasiany,
Na strzesze gniazdo wiją bociany,
Dalej zdrój jasny swą pieśń szeleści,
Nad nim gołąbek swą miłą pieści —
Tam więc pójdziemy — złączeni — razem,
Określać życie nieba wyrazem".

„O tak! choć życia zburzone zdroje...
Jam tylko twoja — nas tylko dwoje...
Pójdziemy ukryć serca rozbicie
W nowego bytu złotym przedświcie,
Tam — kędy ludzkie nie sięga oko...
W dalekie światy — o tam! — wysoko —
Wysoko pójdziem, z duchy czystemi
Płakać nad ziemią i śmiać się z ziemi."

Ty ciągle, Sonko, jedno i jedno,
I znów nadziei mych tęcze bledną!...
Nie wiem: mam zmysły, czym też szalony,
Czy w inne światy już przeniesiony...

Dziewczę bezładnie zwiesiło głowę,
Zamilkło — dalszą z serca rozmowę
Już niepodobna było przewlekać:
Bo jak tu wyznać?... na co narzekać?
Obwiniać ojca — siebie — czy jego,
Czy w jasnem niebie Boga wielkiego?
Witold zrzenicą mdłą, osłupiałą,
Stał — jemu także słów już nie stało.

Nagle jak wicher kroczący z lasu,
Co gdy wierzchołki drzewa poruszy,
Tysiąc gałęzi złamie i skruszy,
Echo szalonych krzyków hałasu,
Przebiegło sioło z końca do końca —
Wrzawie wtórzyła muzyka grzmiąca.
Sonka się wstrząsła... hałas się zbliżał,
Po drodze tętent rozległ się koni...

„Biada nam!... słyszysz?... to oni! oni!"
Krzyknęła dziko, o krok podbiegła
I jakby marę straszną postrzegła,
Blada, konwulsyi drganiem targana,
Na darń wilgotną padła złamana.

„Kto oni? Sonko! dziecię! aniele!
To jakieś we wsi huczy wesele...
O Boże! ona zmysły straciła!"
I twarz Witolda rozpacz skrzywiła.

„Ty jeszcze nie wiesz?... to oni jadą,
Pogrześć mnie z serca mego biesiadą!...
Łzą ni przekleństwem nie zniszczym ciosu,
Niebo już mego nie słucha głosu"...

„Ach! obłąkana! straszne wyroki!...
Gdzie teraz błędne obrócę kroki?...
I otrętwiały, z wargą zsiniałą,
Stanął jak niemy posąg nad skałą,
Który wtłoczyły ludzkie ramiona
Na wieczną pamięć; brew namarszczona
Zbiegła ku środku fałdując skórę,
Wejrzenie było groźne — ponure.
Głuchy na wrzawę, krzyki i śpiewy,
Patrzał w zmienione oblicze dziewy,
I pochwyconej myśli snuł przędzę,
Stawiąc jej grozie ducha-li nędzę.
Załamał dłonie: „Próżne wołanie!
Głos mój jak kamień pada w otchłanie...
Nicość! ten potwór z ciała bez kości,
Co niszczy chwilę i drwi z wieczności!"
Pochwycił lubej skostniałe dłonie,
Grzał całunkami:
„Ja w twej obronie
Sonko!... toż serce — potęga — siła —
Uderz niem w chwilę, co cię zabiła!
Przywołaj uczuć naszych obrazy,
To życie ciche — jasne bez skazy,
Cośmy pierś z piersią wiedli przy sobie...
O moja Sonko! mamże ledz w grobie,
By dłonią trupią dzierżyć twe dłonie
I patrzeć wieki w rozbicia tonie"...

Weselni z krzykiem wpadli przed wrota,
W podwórku Sonki już bęben grzmota,
Od progu chaty ognie zabłysną,
Na czele *młody* — swachy się cisną.

„Co to?... co znaczy ta dzika wrzawa
W progach twej chaty? jaka zabawa —
Jaka to uczta? — z strachem zapyta,
W dłoni mu błysła szabla dobyta.

Wstała — powiodła błędnie oczyma,
O! już jej dalej pierś nie wytrzyma...
Jeśli nie wyprze strasznych płomieni,
Sama się w garstkę płomieni zmieni.
Jak widmo śmierci, jak duch złowrogi,
Tchnący zniszczenie na życia drogi,
Z trupiem obliczem, z rozwianym włosem,
Krzyknęła rdzawym beztonnym głosem,
Unosząc z łona weselne ziele:
„Ty pytasz jeszcze?... ha! to wesele!...
Ty znasz tę chatę — to moja chata,
Ten zbrojny żołnierz co w drzwi kołata,
To kniaź dnia tego pyszny — pan młody —
Ta dzika wrzawa — to moje gody"...

„O sprawiedliwy, o wielki Boże!"—
Zajęczał Witold w nieme przestworze —
Kobieto powiedz! coś ty wyrzekła?...
Gdzie twoja pamięć, gdzie myśl uciekła?...

V.

Nastała długa chwila milczenia,
Groźna jak moment ów przebudzenia,
Na ciepłych zgliszczach ojców zagrody,
Lub na ruinie wziętej swobody.
Milczeli długo, patrząc na siebie,
To znów na gwiazdy na jasnem niebie.
Wzgórze chowało posępną ciszę,
Chyba się listek gdzie zakołysze,
Dwie łzy pobiegły z pod powiek dziewy,
I na suchotnem zastygły licu,
W duszach jęczały łabędzie śpiewy,
Tylko blask raźniej igrał w księżycu.

„O tak! naprawdę jam nieprzytomna,—
Wyjękła Sonka —
„Tyś znikł bez wieści...
Ojciec się ujął dziecięcia sławy,
Którą szarpano, tak — dla zabawy —
Poswatał nagle... wyrok rodzica
Spadł na mnie nagle, jak błyskawica...
I zawleczono mnie do ołtarza
Na wpół przytomną"...
„O zgrajo wraża!
Na ostrzu szabli zgładzisz swą winę!...
Lecz ty!... ty mogłaś nędzną gadzinę
Objąć wieczystym uściskiem żony!...

„Chcesz odpowiedzi? — znać w życiu jeszcze
Nie miałeś chwili która jak kleszcze
Gniotąc żelazo, by dać pod młoty, —
Zgniata nas nagle w wytwór zgryzoty,
Nędzy, zwątpienia, ohydy ducha,
Zbrodnicze słowa szepcąc do ucha...
O! widać chwila każdej boleści,
Wszędzie wyłączną treść w sobie mieści,
Jeśli rozbitek na fali łonie,
Pyta rozbitka — dla czego tonie?
Widzisz tu w świetle ten kwiatek mały,
Co stopy nasze pierś mu zdeptały? —
Słuchacz słowika — kochanek woni —
Czemuż w proch brudny zwoje swe kłoni?
Zechcesz go pytać słowem — oczyma —
Nie powie: uwiędł — w nim słowa nie ma...
Co dziełem grozy, niech mówi ona...
Piorun, gdy gromi, natychmiast kona,
Śladów dróg jego nie skryć w pamięci —
O takich ciosach wiedzą li święci,
Ja nie wiem czemu, jak to się stało!...
„A serce twoje?... ono zostało
Niemem, gdyś rzekła wyrok mej zguby?
Czy taką drogę można dla próby
Obierać?
„Można wśród dróg rozstajnych,
Chwycić się środków i ścieżek skrajnych...
Nie mogąc złamać ojca wyroku,
Myślałam sobie w łez moich mroku:
Rozstać się z życiem mogę w tej chwili,
Lecz serca pragnień to nie zasili...
On wrócić musi — on kiedyś wróci —
Ból co ma przyszłość, życia nie skróci,
Stanę więc przed nim widmem straszliwem,
Wciąż konającem i wiecznie żywem,
I ścigać będę zbliska oczyma
Niestartej nigdy klątwy Kaima...
Jeżeli zdradził — w ogniach sumienia
Obmyje ciężkie swe przewinienia;
A jeśli tylko zapomniał może,
Obudzą pamięć zgryzoty noże,
Z głazu przeszłości wyjdą wspomnienia,
Żal chwil ubiegłych, żal nawyknienia,
I w przedostatniej konania chwili,
Wzrok strwożon śmiercią promień zasili
Dawnego szczęścia, choć w mgle skażenia —
Świat mi ten zamkną lube wejrzenia".
„Zemsta kobiety i jej nadzieje!
Jedno i drugie polipy sieje
Na ród człowieczy!... jak pelikany,
Na własnej piersi robicie rany,
Żeby nasycić zawodu dziecię:
Zemstę — i zbrodni szatę szyjecie...
A z cierniów życia, z wstrętnego chcenia,
Snując ulotne serca złudzenia,
Nowe żywioły szlecie ruinie,
I życie wasze wciąż marnie ginie!"

„Snadno niebiosom śmiać się z łez ziemi —
Tyś takiem niebem z słowy twojemi!...
Niewiasta — nędza — zgrai ofiara —
Maż drogi inne, gdy bólu czara
Przesączy jady swoje w jej życie?
Swiat i wy dróg ją innych uczycie?
Przebóg! gdzie przystań? w czem jej zbawienie?
Kędy wzrok utkwi: łza, opuszczenie,
Szyderstwo niecne z jej nagiej głowy —
Wyciągnie dłonie wkrąg po ból nowy.
Bo gdy zapragnie dłońmi własnemi
Usłać dla siebie kątek na ziemi,
Wnet czarne zewsząd zlecą się kruki,
Sławę i życie porwą na sztuki.
Tak bywa z młodą, a zawiedzioną;
Co chce być człekiem, nie będąc żoną,
By nie przerzucać z dachu w poddaszę
Ciepłego życia, jak błędne ptaszę;
Stara — z dziewicy wieńcem na skroni,
Pod gorszą jeszcze klątwą się kłoni:
Tej już ofiarna dłoń nie uściśnie,
Kto wzrok obróci — bluźnierstwo ciśnie,
I jękiem tylko na świat zawoła,
Jak trup zaklęty śród żywych koła,
Nie słysząc nigdy tętna godziny,
Co ją obdarzy śmiechem dzieciny
Własnej!..."

„Więc przedaż dokonać z ciała,
By w biegu życia tryumfowała
Natury władza — to mniej boleści"...

„Daję odpowiedź na twe zarzuty —
Tu każda droga coś swego wieści,
I każdy więzień w pęta zakuty,
To tylko czyni co czynić może,
Nie bacząc na to w jakie rozdroże,
Tajne wysiłki zagnać go mogą:
Ja poszłam tylko swą własną drogą"...
„Cóż teraz? dokąd pójdziesz nią dalej?"
„Życie me zdawien w głębiach tej fali—
Czekałam ciebię... opuścisz — zginę
Sama, jak pyłek wzbity w mgły sine...
Ja ziemi nie mam, nie mam zagrody,

Ten kąt już cudzy, gdzie moje rody;
W tobie złożyłam moje zbawienie,
Rzucając wszystko: wsi nawyknienie,
Pamięć łąk jasnych, ojców obrzędy —
Dziś mi już nie siąść u jednej grzędy
Z nimi... ja tylko czekałam ciebie...
Bez twoich spojrzeń, ach! nawet w niebie
Żyćbym nie mogła — bez tych ostatnich!..."
„Tak!... próżno marzyć o sercach bratnich! —
Wyrzekł posępnie wojownik młody —
I ja już nie mam ojców zagrody...
Pójdziemy — z dawien jam w świat iść [zwykły —
Nadzieje świetne jak mary znikły!
Pójdziemy żebrać pod obce nieba
Ciszy wytchnienia, soli i chleba...
Ja ci z tymianów łożę uścielę,
Motylki nasze uczczą wesele,
Wzlecim do słońca z pyłkiem w zawody,
Ty mnie nauczysz życia swobody"...
„O tak choć życia zburzone zdroje,
Jam tylko twoja nas tylko dwoje...
Pójdziem gdzie świata nie sięgnie echo,
Żyć obok siebie pod ową strzechą,
Co strzeże wieczność — znasz ją mój miły?
Pójdziemy razem w łono mogiły,
Pieścić wieczności zakrzepłe życie,
Ukryć w niem straszne losu rozbicie...
Próżno się tobie dzień tu uśmiecha;
Dla nas zginiona ziemska uciecha."
„Toż w każdym razie zmuszone śluby
Rozwiązać można"...

„O mój ty luby!
Rozwiąż gnębiące życie ustawy
I mów tak wówczas... dramat nasz krwawy
Nie znajdzie wioseł na ludzkiej łodzi —
Czyż kogo boleść cudza obchodzi?...
By zaś tych ustaw złamać wyroki,
Trzeba się zbroić w fałszywe kroki,
Potrzeba mienia — potrzeba czasu —
A tu już tuman wychodzi z lasu,
Co ma obwieścić wkrótce świtanie,
Już swachy kończą prędko skakanie
Swoich szalonych tańcu dwunastu —
Musimy zginąć pierwej nim nas tu
Znajdą, zabiorą niby zbrodniarzy"...
„Więc Sonko droga, cóż nam do ludzi,
Śród których nie ma serdecznej twarzy? —
Ich pamięć tylko myśl jasną budzi"...
„Ludzie! ach czemu tak nędzni oni!
Czyż, pragnąc tylko ptasząt swobody,
Trochę powietrza, trochę pogody,
Letnich upałów, wiośnianej woni —
Jużbyśmy wszystko im tu zabrali?
Za cóż nam oni życie złamali,
I wwiedli w przepaść, gdzie gasną tchnienia,
Gdzie nawet nie ma Boga wejrzenia"!...

„Więc rzućmy miejsce gdzie żyją oni,
I zawsze razem ze dłonią w dłoni,
Chodźmy w nieznane, dalekie światy,
Choćby do dzikiej z gałązek chaty,
Dokonać życia, kochając siebie,
Boga w przyrodzie i Boga w niebie.
Świat ten błyszczący, to chytrość, złuda,
Sępia żarłoczność, lisia obłuda,
Ludzie to koty z żądzą tygrysią,
Ze smoczą paszczą, z prawicą rysią,
Co to się łaszą, czyhając zdala
Na los bliźniego, jak na rywala"...
„Prawda, mój drogi — ale ci ludzie,
Gdy umaczając usta w obłudzie,
Mocą się bożych praw zastawiają,
Ci co je wiarą swą zatwierdzają,
Sąż rozwiąźni w chwilach mitręgi,
Z słowa co rzekli — danej przysięgi?"
Witold powieki rozwarł szeroko,
Odbłyski groźby, szyderstwa, gniewu,
Jak czarna chmura zawisły w oku;
I był podobny uschłemu drzewu,
Co gdy huragan w pierś mu się wporze,
Tańcem skieletu swego nagiego,
Zdwaja okropność wiru groźnego,
Zanim w zniszczenia upadnie łoże."

„O, ty prawdziwa córo Ewina!
Od jakich-że to słów się zaczyna,
Twoja obłoczna mowa, kwiecista?
Zda się cherubów arfa srebrzysta; —
Lecz jaka świętość mieszka w tej mowie,
Dopiero chwila czynu opowie...
I ja słyszałem słowo twej wiary...
Szaleniec! stopy liżąc tej mary,
Tron jej w aniołów złożyłem skrzydła!...
Przeklęte widmo! dziecię straszydła!
Harpio, coś życie w minucie zjadła!
Larwo efemer nikła, wybladła!
Depczę cię stopą, duszą, wspomnieniem,
Pierwszem i razem ostatniem tchnieniem...

Słowo niewiasty: bańka mydlana,
Zefir na kwiatach, na falach piana...
W jej życiu mglistem słów, przysiąg tyle,
Ile zatoczą kręgów motyle; —
Schwyciłeś słowo — w duszę układłeś: —
Zmarniałeś — zwiędłeś — zgasłeś — prze- [padłeś...
Dawnoż w mych uczuć progach kościoła,
Składałaś śluby usty anioła? —
Dziś napłoszona rózgą przestrachu,
Już do innego wniosłaś je dachu!...
I choć dwa życia giną w niedoli,
Nie masz dość siły, ni dosyć woli,
Ustawom serca uczynić zadość,
I z męki snujesz duszy swej radość...

Święcie u mędrców jest napisano;
Słabość — to drugie niewiasty miano,
Co zatli sercem, zgasi słabością...
Z jej więc przyczyny człowiek z ciemnością
Rozstać się nigdy tutaj nie może:
W cieniach mu zeszło i zajdzie zorze!...

Zrzenice Sonki zabiegły łzami,
Walka w jej łonie biła gromami;
Mijały chwile — swachy śpiewały,
Swawolne pieśni echem leciały
Po nocnych cieniach i chłodnej rosie —
Burza szalała w biesiady głosie.

„Sonko! ty milczysz? pora uchodzi...
O moja Sonka! czyż tak się godzi? —
Znów jęczał Witold — przebacz jam pjany,
Ja żądłem żmii cały skąsany...
Rozkażesz! — martwy u twych stóp legnę,
Rozkażesz! — z oczu twoich odbiegnę,
Zechcesz! — wraz pójdę na twoje gody,
I hasać będę niby pan młody,
Tylko mi słowa nie skrywaj swego...
Chwile liczone — czas nam ucieka —
Przepaść już trzyma otwarte wieka"...

Dziewczę wzrok wzniosło z dziwnym wy- [razem,
Gorzko i tkliwie było tam razem,
I uporczywie coś niezmiennego.
„Tyś wziął me serce — z powagą rzekła —
Ty weźmiesz duszę... w przepaść — do [piekła —
Pójdę gdzie zechcesz przez śmierci noże,
Tylko nie w świata zdradnego morze,
By włóczyć życiem po łzach tej ziemi,
Ze znamionami hańby wiecznemi...
Tyś sam mi wskazał to inne życie,
Gdzie jak na czystym letnim błękicie,
Niezmiennie słońce w swej chwale płonie;
Niech jedno tchnienie pierś mętną zionie,
Wypłynie chmura, horyzont sciemi,
I duszy wtenczas ciężko na ziemi!...
Sprężyny życia rdzawe — złamane —
Wysiłek sztuki, drogi koszlawe
Ich nie odnowią: zagójmy ranę,
Składając serca skrwawione, łzawe,
Tutaj — w tę ziemię naszą kochaną!...
(d. n.)

KRONIKA PARYZKA.

W Paryżu słynnym ze swojej zmienności, gdzie często o dniu wczorajszym ginie wspomnienie, zanim sam dzień upłynął, jest przecież jedna rodzina stojąca zawsze na świeczniku, i pod wszystkiemi rządami bez wyjątku, zwracająca na siebie ogólną uwagę. Rodziną tą, jak się każdy łatwo domyśli, są Rotszyldowie. Dzierżą oni niezmiennie berło finansów europejskich, i w tym charakterze są niezaprzeczoną potęgą, którą wszyscy bez wyjątku zniewoleni są szanować.

Przyzwyczajeni jesteśmy słyszeć o domu Rotszylda w Paryżu, chociaż powinna być mowa o domu Rotszyldów. Wspólka rodzinna trwa od kilku pokoleń, to jest od chwili początkowego zawiązku przyszłej wielkości. W tem właśnie może zawarta jest tajemnica stałego powodzenia. Kiedy synowie tak zwanych dorobkowiczów, po większej części tracą majątki i wychodzą na biedaków; kapitały Rotszyldów zwiększają się prawidłowo, a dom ich zajmuje się coraz ważniejszemi przedsiębierstwami.

Środek zabezpieczający kapitały od rozproszenia obmyślony został bardzo dowcipnie. Są one niepodzielne, nie mają właściciela, tylko administratorów, a dopiero czysty dochód przechodzi w stosunku właściwym na korzyść stowarzyszonych. Co lat dwadzieścia pięć odnawianym jest akt wspólki, a ogromne korzyści nie dopuszczają najmniejszej myśli zmierzającej do zerwania układu.

Ileż by to majątków ochronionych było od straty gdyby spadkobiercy mieli tylko prawo do dochodu.

W miesiącu październiku roku bieżącego, podpisanem zostało nowe przedłużenie niepodzielności majątkowej, i z tego względu niektóre dzienniki paryzkie rozpisały się szeroko o żyjących członkach rodziny Rotszyldów.

Ta jedna okoliczność dowodzi, wielkiej różnicy obyczajów u nas i we Francyi. Niechętni jesteśmy do ujawniania tajemnic rodzinych; w Paryżu nie lękają się tego wcale, w pewnym ma się rozumieć zakresie; rozgłos nietylko nie robi uszczerbku, ale daje pewną wziętość, jeżeli bohater zwróci na siebie ogólną uwagę. Na próbkę damy jeden przykład zaczerpnięty z dziennika.

Pan Daniel Rotszyld przegrał w klubie w ciągu roku trzy kroć sto tysięcy franków. Żona jego uskarżała się przed hrabiną M. ta odpowiedziała z całą swobodą:

— Nie gniewaj się, moja droga, dama treflowa nie zakłóci waszego pożycia.

Ten pan Daniel jako marnotrawca *dochodów*, jest wyjątkiem w rodzinie Rotszyldów.

Zarząd majątku jest dziedziczny, przechodzący z ojca na syna. Dzisiejszy administrator całego domu, pan Alfons, od młodości przyzwyczajony był do życia czynnego. Jeden z naszych rodaków, zbiegiem okoliczności zajmujący się w Paryżu przed kilkunastu laty introligatorstwem, poleconym mu był o dostarczenie roboty. Czyniąc zadosyć prośbie pan Alfons kazał przybyć mu do siebie o godzinie siódmej rano. Skoro interesant zgłosił się, zastał go ubranego i od godziny pracującego przy stoliku. Przy takiej pracowitości przechodzącej także dziedzictwem z ojca na syna, cóż dziwnego że potęga finansowa Rotszyldów utrzymuje się bez zmiany, wzmagając się niemal corocznie.

Pisząc o rodzinie Rotszyldów, mimowoli wyraz dobroczynność nasuwa się pod pióro. Tą drogą właśnie pozyskali oni wielką wziętość we Francyi, i w chwilach największych nawet wzburzeń, dom ich był i z pewnością zawsze będzie szanowany. Dobroczynność jednak nie jest i nie może być przywilejem wyłącznym pojedynczych rodzin; w narodzie francuzkim wziętym zbiorowo, uczucie tego rodzaju jest szeroko rozwinięte. Zakładane stowarzyszenia, mające na celu podanie ręki pomocy różnego rodzaju nieszczęśliwym, cieszą się wielkiem powodzeniem. W roku zeszłym dokonano w tym kierunku dwóch czynów nieposppolitych. Przedewszystkiem wypada wspomnieć o sierotach pozostałych po artystach wszelkiego rodzaju, do których grona zaliczono i literatów.

Postanowiono zapewnić im przyszłość na wypadek śmierci rodziców, gdy takowi nie posiadają dostatecznych środków utrzymania. W przeciągu kilkunastu dni, dobrowolne zapisy wytworzyły znaczny kapitał zakładowy. Bieżące wydatki pokrywane są składkami stowarzyszonych i dochodami z koncertów, wydawanych z olśniewającą prawdziwie świetnością. Ogromna sala w pałacu Trocadero sprowadza kilkotysięczną publiczność, korzyść jest tem znaczniejsza, ponieważ nie ma żadnych wydatków do pokrycia.

Inicyatorkami powyższego stowarzyszenia były niektóre artystki paryzkie a w ich liczbie należy pomieścić Sarę Bernardt.

Pragnąc aby dzieło było godne założycielek, ustawę przestawiono komisyi złożonej z różnych znakomitości naukowych i literackich. Zakres działalności stowarzyszonych określono z niezaprzeczoną oryginalnością. Wytworzona instytucya ma zastąpić rodziców w najobszerniejszem znaczeniu. Do lat trzech dzieci utrzymywane będą w stosownych ochronkach; później przechodzą do zakładu, gdzie w razie potrzeby mogą zostać do 21 roku życia. Najobszerniejszy zakres naukowy, artystyczny i t. p. otwarto przed młodzieżą płci obojga. Zarząd obowiązany jest czuwać, aby każdy wychowanek skierowanym był odpowiednio do swych zdolności, a że te są bardzo rozmaite, obok wykładów wyższych znajdują się i niższe, przytem najrozmaitsze warsztaty i nauka obsługi domowej pod każdym względem.

Mimo różnej nader przyszłości, jaka czeka wychowanków zakładu, żyją wszyscy wspólnie, bez najmniejszej zmiany warunków utrzymania. Jest to niezaprzeczenie najdzielniejszy sposób zaszczepienia uczuć bratnich, które powinny łączyć różne warstwy narodowe.

Inne przedsiębierstwo dobroczynne, jeszcze większego znaczenia, przeprowadzono za pośrednictwem paryzkiej Rady miejskiej. Rzecz dotyczy rozciągnięcia opieki już nietylko nad sierotami nie mającemi ani ojca ani matki, ale w ogóle nad dziećmi, które w skutek jakiejkolwiek okoliczności nieprzyjaznej, nie odbierają należytego wychowania. Ubóstwo rodziców, ich życie niemoralne, pociągające za sobą nieraz karę więzienia, stawia dzieci w najprzykrzejszem położeniu, wprowadzając ich zbyt wcześnie na błędną drogę postępowania.

W Paryżu przytrzymywanych jest corocznie około 1,600 dzieci włóczęgów poniżej szesnastego roku życia, które można było uchronić od zepsucia, gdyby wcześnie przedsięwzięte były odpowiednie środki zaradcze.

Do siódmego zatem roku życia dzieci takie nie będą przyjmowane do zakładu, ale mieszczone za opłatą, u rodzin rzemieślników pracujących na siebie, lub też między rolnikami znajdującemi się w okolicach Paryża.

Jednocześnie zawezwani będą nauczyciele, nauczycielki cywilne, o złożenie deklaracyi, na jakich warunkach zechcą udzielać wykłady naukowe. W całem przedsiębierstwie przyjętą jest za zasadę jak największa decentralizacya, zapewniająca wiele ułatwień osobom interesowanym.

W kraju powszechnego głosowania, gdzie każdy mężczyzna, bez względu na jego stan, powołanym jest do decydowania o najważniejszych sprawach narodowych, koniecznością jest niejako dla ogólnego bezpieczeństwa, rozwijać ukształcenie w najniższych warstwach społecznych.

Przeminęły już czasy, w których tłumienie światła uważanem było za czyn wielce polityczny.

Niewątpliwie tu i owdzie napotkać jeszcze można wadliwe systemy, ale trudno oprzéć się sile czasu.

Narody oświecone uwydatniają zanadto żywo korzyści nauki, jakie na wszystkich zarówno na rządzonych jak na rządzących spadają, wobec tego przesądy i zła wola, prędzej lub później muszą zamilknąć.

Zachodzą jednak zagadki, których rozwiązać nie można inaczej jak tylko na podstawach doświadczenia. Przedewszystkiem zapytują się prawodawcy: czy instytucya tego rodzaju nie będzie oddziaływać szkodliwie na stosunki rodzinne? Znaleźć się mogą rodzice wyrodni składający rozmyślnie ciężar utrzymania swych dzieci na bary innych osób. Na to jednak, odpowiadają, nie ma środka, trzeba liczyć cokolwiek na wrodzone uczucia przywiązania będące cementem spajającym dzieci z rodzicami. Ale mając to na względzie z drugiej strony jest rzeczą konieczną, zabezpieczyć wzrastające nowe pokolenie, od szkodliwego wpływu ich życiodawców. Często bardzo ojciec łotr po odsiedzeniu więzienia może zażądać zwrotu dziecka, które pod opieką instytucyi mogłoby wykierować się na człowieka, a zły przykład zgubi go niewątpliwie.

Zachodzi zatem pytanie, czy ojciec lub matka mogą domagać się zwrotu dziecka, a Instytucya czy może oprzéć się a nawet czy nie jest obowiązaną sprzeciwić się spełnieniu takiego zadania?

Każda jednostka społeczna należy do siebie ale i do społeczności stanowiącej zbiorowość z wielkiego mnóstwa jednostek złożoną. Ma więc prawo do wolności, ale i ma obowiązek ograniczać ją prawami innych jednostek. Do praw tych wszystkim posługującym należy zdrowie moralne całej społeczności, konieczność utrzymania go w nienaruszalności i możność usuwania wszystkiego co je psuje lub grozi zepsuciem.

Człowiek zły to trucizna, którego społeczność ma prawo zamknąć, wywieźć w dalekie strony a nawet usunąć z pomiędzy siebie, jak się usuwa w ciele miejsce zgangrenowane, aby całości nie psuło. Ma więc prawo pozbawić go praw ojcowstwa, bo zły człowiek nie może być dobrym ojcem, i dziecko takiego wielką przedstawia obawę czy hultajem nie zostanie. Instytucya zatem może się oprzéć woli ojca, zwłaszcza że wszelką daje rękojmię, iż opiekę ofiarowaną w imieniu miłości bliźniego spełni należycie.

Działanie tak rozwinięte, sięgające w najdalsze krańce przyczyn złego i starające się je usunąć, jest rzeczywiście radykalnem i jedynie rozumnem i skutecznem. Kary straszą ale nie leczą grzeszników, im sroższe tym prędzej do rozpaczy niejako prowadzą, wreszcie obojętnieją i rozbestwiają. Oświata, nauka, książka, oto wielkie tajemnice, bijące taranem w złość i głupotę ludzką. Im gdzie więcej szkółek, tam tym więcej dobrego, ze zwrostem jego pustoszeją więzienia, próżnują sądy karne i zbrodzień staje się dziwowiskiem tłumy ludu ściągającym do siebie jako potwór zamorski nigdy przedtem nie widziany. Nie teorya to ani deklamacya, ale prawda. Kto szuka znajdzie ją nie w jednem miejscu w Niemczech a kto żyć będzie zobaczy ją wyrastającą i na naszej ziemi. Plemię nasze do wszystkiego zdolne, szczególniej do tego w czem tkwi piękno i dobro. Dowodem najlepszym że nie wpadło w przepaść zatracenia choć je gwałtem do niego wpychano. Kto oparł się temu, musi zapas sił mieć wielki, a nie zapominajmy że Słowianizm walczy już lat przeszło półtora tysiąca o prawa swoje i że wreszcie prawda do tryumfu dochodzi.

PIEŚŃ HURYSSY.

(Urywek z większej całości).

U mych okien trzy topole,
U topoli trzy kaskady,
Tuż u kaskad kwietne pole,
Tuż za polem drzew półkole.
Z po za drzew ślni szafir blady,
A z drzew spływa włos zielony,
W włosach ptactwa chór wpleciony.
A u ptaszków lotne skrzydła,
Lekkie, z splotu piórek zwiane,
Piórka w różne malowidła,
Jak bukiety róż wiośniane,
A w tych skrzydłach ich swoboda...
A ja?... a ja w kwietnej klatce,
Ja... w niewoli?... taka młoda!...
Czemuż nie śród gór mych w chatce?

Do mych okien lazurami
Wielka gwiazda dnia spływała,
Promieniąca barw tęczami,
Nad mych kaskad błękitami,
Moje kwiaty całowała,
W oczy w lica zaglądała.
I w błękicie mej zrenicy,
W tej brzemiennej łzą krynicy,
Wszystkie gwiazdy wieczorami
Odbijały skier kroćiami,
W skrach — paliła mię swoboda...
A ja?... w kwietnej klatce, w łzach,
Ja... w niewoli!... taka młoda!...
Taka chciwa lotu... ach!

Ach! — pamiętam raz o zmroku,
Gdym z podwoi wyszła szklanych,
Łzy palące mając w oku,
Do ogrodów snem owianych,
By przeszłości rozwiać cienie,
Rozwiać cienie dni minionych, —
Patrząc w gwiazd odzwierciadlenie
Z bzów namiotu uperlonych,
Wiatr się zerwał, twarz księżyca
Bladła... nikła... aż się skryła...
Żadna gwiazda światłolica
Mroku nie opromieniła.

Wiatr zaszemrał drzew liściami,
Wichrem zawył, zagrzmiał, świsnął,
Eter jęknął półtonami,
Błyskawicą w oczy błysnął,
I zanucił piorunami.
Nieruchoma, pod osłoną
Drzew, wiejących dżdżu kroplami, —
Stałam z piersią roztęsknioną,
To błyskawic jasna skrami,
To się w mroku nurzająca.
A przede mną groźna, wielka,
Rozdźwiękami śmierci grzmiąca,
Wszech przyroda — rodzicielka
Akkordami serenady,
Ach! — potężnej — uderzała
O spienionych wód kaskady,
O drzew gnące się arkady.

W obec pieśni tej jam stała
Niby jakaś odrodzona,
Nie swoją wielkością dumna,
Żądzą woli rozpalona, —
Jak przyrody tej kolumna.
Ach! — bo pieśń ta w każdym tonie
Grzmiać się zdała: jam swoboda
Nieprzeparta, niezwalczona:
Gdzie ten, co mi skuje dłonie,
Co mi pęta swoje poda?!
I jak mściciel mój rozbiła
Różnofarbnych szkieł osłonę,
Wszystkie światła pogasiła,
Wnętrz haremu w mrok spowiła,
I huryssy roześnione
Dżdżu kroplami orzeźwiła.
I jak matka ma wołała
Do mnie sławy piorunnemi:
„Za mną, za mną moja biała,
Coś już tyle wycierpiała, —
Chodź do swej ojczystej ziemi!
Ja cię w nocy mrok spowiję,
Dam za gwiazdy — błyskawice,
Piorunami ci rozbiję —
Góry lasy i krynice.
Dźwięczną pieśnią wichru zgonię
Niewesołe dumy z czoła,
I gdy sen ci na twarz wionie —
Skrzydlatego dam anioła.
On skrysztali prąd gromowy,
I zapali świt różowy,
Ptaków zgoni do piosenki,
I rozwoni kwiatów pęki.
On ci ciepłem pierś owije,
Ukołysze skier migotem,
I błękitny strop rozbije
Gwiazdolicym ci namiotem."

Kazimierz Paledzki.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ P. Sembrich-Kochańska zaangażowana na sezon zimowy do Petersburga, zaraz w pierwszem wystąpieniu w „Łucyi z Lamermoru" zyskała ogólny poklask i uznanie. Zarzucono ją bukietami i przywołano 20 razy. Występuje tam jako signora Marcella Sembrich, u nas jako Kochańska, w Anglii tytułowała się signorą Bossio, w Niemczech krótko Sembrich. Pisma nasze słusznie zwracają uwagę, dlaczego jedna i taż sama osoba przedstawia się w charakterze potrójnej narodowości: tu uchodzi za Polkę, indziej za Niemkę lub Włoszkę. Przyznajemy że to odrzucenie nazwiska polskiego przy występach zagranicznych, nader niemiłe wywiera na nas wrażenie. Dziś kiedy nie ma może jednego ukształceńszego cudzoziemca, któryby nie znał i nie nauczył się wymawiać nazwisk Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Matejki, Siemiradzkiego i tyle innych naszych znakomitości, artystka nie potrzebowała się obawiać aby nazwiska „Kochańska" nie umiano wymówić w Petersburgu. Cóż więc znaczy ta mistyfikacya? Czyżby zapomniała już że Warszawa pierwsza uznała wielką artystkę?

+ Piszą z Rzymu do „Wieku" iż tamże dnia 13 grudnia odbył się pierwszy tajny konsystorz, na którym obecnym był tylko Ojciec św. i kardynałowie. W allokucyi swej Leon XIII mówił głównie o nowym kardynale Hassun'ie, oddając mu zasłużone pochwały; o Francyi nie było wzmianki. W końcu papież oznajmił iż mianuje trzech kardynałów *in petto*, lecz okoliczności nie pozwalają jeszcze wymienić ich nazwisk. Dnia 16 miał miejsce drugi konsystorz pół publiczny, tem się różniący od publicznych czyli nadzwyczajnych, iż po takim następuje zwykle posiedzenie tajne, niedostępne dla publiczności.

Hassun i Jacobini b. nuncyusz wiedeński, złożyli w kaplicy Syxtyńskiej obowiązującą przysięgę, a wybrana publiczność zapełniła wspaniałą salę królewską z XV wieku olśniewającą bogactwem marmurów i prześlicznych sztukateryi; cztery loże zajęte zostały przez ciało dyplomatyczne i wielki świat rzymski. Wszyscy pragnęli poznać nowych kardynałów, a szczególniej słynnego Hassuna. Wtem roztwarły się podwoje sali książęcej i ukazały się piękne hełmy gwardyi szlacheckiej, bogate stroje szambelanów i mistrzów ceremonii, potem krzyż a za nim długi szereg biskupów, patryarchów i przeszło 40 kardynałów, a nakoniec sam papież w kapie i mitrze, niesiony przez 10 kamerdynerów, przybranych w okazały strój karmazynowy. Ojca św. otaczał dwór wojskowy i cywilny.

Gdy papież zasiadł na tronie, adwokat konsystoryalny odczytał akt beatyfikacyi czcigodnego Gaspara Bufalo, poczem weszli do sali Hassun i Jacobini, każdy wprowadzony przez dwóch kardynałów dyakonów. i uklękli przed papieżem który ich podniósł i uściskał; takiż uścisk braterski zamienili ze wszystkimi z kolei kardynałami, poczem znowu uklękli przed papieżem aby odebrać z rąk jego czerwony kardynalski kapelusz. Papież oddając kapelusz, poleca im bronić praw kościoła aż do śmierci i choćby krwi przelewu. Po skończonej ceremonii, papież w tymże co przybył porządku wraca do swoich komnat, a kardynałowie pożegnawszy go w sali książęcej, przy odgłosie hymnu ambrożyńskiego przechodzą do kaplicy Syxtyńskiej, gdzie dziekan św. Kollegium, odmawia przepisane rytuałem modlitwy, i raz jeszcze wszyscy braterskim uściskiem pozdrawiają nowych kolegów. Tłumy gości rozproszyły się wtedy po obszernym dziedzińcu Św. Damazego. Mundury gwardyi palatyńskiej, oraz marsowe twarze żołnierzy w strojach pierwszego cesarstwa, przypominały dawne czasy kiedy papież nietylko w swoim pałacu, ale w Rzymie i całem Państwie kościelnem, był królem, ojcem i panem. Po ustąpieniu publiczności, św. Kollegium zebrało się znów w sali konsystorskiej, i tam Ojciec św. zamknął usta nowym kardynałom i zamianował kilkunastu biskupów, po większej części *in partibus*. Następnie, wymawiając uświęconą formułę, otworzył usta nowym dostojnikom. i wkładając im na palce pierścienie, wyznaczył Jacobiniemu kościół św. Maryi Zwycięzkiej, a Hassunowi śś. Gerwazego i Protazego.

Ze Lwowa donoszą że Leon XIII ozdobił wysokim orderem księcia Romana Czartoryskiego, za podźwignienie z upadku starożytnego klasztoru Bazylianów w Zadarowie; zaś księżnę Romanową udarował kosztownym naszyjnikiem z portretem swoim w medalionie, za zbudowanie w tejże wsi nowego kościoła unickiego.

+ W pierwszych dniach grudnia, zmarł w Paryżu ambasador japoński, Sameshima; tłumy ciekawych cisnęły się do ambasady japońskiej, dla zobaczenia pogańskiego obrzędu pogrzebowego. Domownicy odmówiwszy modlitwę za duszę zmarłego, obmyli ciało, ogolili głowę i ubrawszy go w białe szaty według narodowego zwyczaju, złożyli do trumny i umieścili na katafalku otoczonym kwiatami i światłem jarzącem. Przed wyprowadzeniem ciała, obecni w Paryzu dygnitarze japońscy, odmówili nad trumną modlitwy, poczem złożono ją w grobie na cmentarzu Montparnasse; nad grobem wznosi się pagoda. Stanąwszy przed pagodą wzmiankowani dostojnicy japońscy znów inne odmówili modlitwy, i kolejno deklamowali coś ze zwitków papieru drukowanych po japońsku. Deklamacya japońska przypomina bardzo deklamacye Hebrajczyków i Arabów. Z twarzy Japończyków można było wyczytać że modlą się szczerze, z silną wiarą w Najwyższą Istotę i w nieśmiertelność duszy.

+ „Le Sport" podaje niektóre szczegóły o ślubie panny Blanc z księciem Rolandem Bonaparte, w kościele Ś-go Rocha w Paryżu. Przed kościół zajechała przepyszna kareta, pokryta aksamitem, złotogłowiem i przystrojona wspaniale pękami strusich piór. Z karety tej wysiadła panna młoda ubrana w strój olśniewający królewskim przepychem i z dumnie podniesioną głową, weszła do świątyni pokrytej od dołu do góry zieloną jedwabną materyą przerabianą złotem i podpinaną kosztownemi białemi szarfami. Niezliczona ilość płonącego światła olśniewała wzrok, a artystycznie rozstawione kwiaty, zamieniły kościół w prześliczny ogród. Po obu stronach wielkiego ołtarza, oczekiwały państwa młodych znakomitości rodowe i wysocy dostojnicy, a gdy przestąpili próg kościoła, organy zadźwięczały harmonijnym hymnem. Do Mszy Św. Juliusz Cohen ułożył muzykę umyślnie na tę uroczystość przeznaczoną; podczas niej śpiewali najpierwsi artyści i artystki a między innemi nowo powstająca gwiazda panna Berta Verrue, mająca niezadługo debiutować w Operze, pod pseudonimem „Baldi." Może w duchu śpiewacy ci prosili Boga aby panny młodej nie karał za winy ojca i matki a pana młodego że mitrę książęcą i znakomite nazwisko, przedaje za sromotnie krzywdą ludzką zebrane miliony.

Uczciwe dzienniki francuzkie z wielkiem oburzeniem wyrażają się o tym związku; bo któż jest ta dzisiejsza księżna Bonaparte, która dziś jako kuzynka może wesprzéć się poufale na grobowcu Napoleona I-go?—Oto córka krupiera z Monaco, który zgrawszy się kiedyś w Bigorre do ostatniego grosza, opuścił to miejsce o żebraczym chlebie. Następnie ożenił się z kobietą osławioną, pozbawioną czci ale bardzo bogatą, za jej pieniądze założył dom gry i na tem zacnem rzemiośle, kolosalnej dorobił się fortuny.

Oto co pisze jeden z dzienników francuzkich.

„Widocznie nadeszła epoka rozsądku. Najdawniejsza, szanująca się dotąd arystokracya, słuchając jego głosu, nie cofa się przed zawieraniem małżeństw, jedynie dla pieniędzy i interesu. Zrujnowany arystokrata udaje się do kantoru małżeństw i tam zapisuje się jako będący na sprzedaż, kupi go ta co najwyższą zapłaci cenę. Wszystko, nawet duma rodowa, niknie wobec worka złota. Mniejsza o to jakim sposobem ojciec panny przyszedł do milionów, czy na drodze uczciwej pracy, czy też kradnąc i rozbijając lub grzebiąc w błocie, o to nie badają, tylko starają się sprawdzić czy rzeczywiście są miliony. Arystokracya sądzi że umocni się podtrzymana kapitałami łotrów:—gruba to pomyłka! Zatonie w tym kale i na tle jego mitry książęce zamienią się w czapki pajaców.

„O Blanku! czyś ty przypuszczał że będziesz pniem z którego rozrodzą się książęce szczepy—bo wszak i starsza córka jego została żoną księcia Radziwiłła.—Ciekawa rzecz coby w naszym kramarskim wieku zrobił „Jan bez ziemi” czy także ratowałby się ożenieniem z córką jakiegoś milionowego kata? Wprawdzie pan Blanc nie piastował urzędowo posady kata—jednakże wtrącił do grobu nędzy i hańby więcej ludzi niż strącił głów ulubieniec Marata —i gdyby z posagów córek krupiera dały się wycisnąć ich pierwiastki, popłynęłaby szeroka łez rzeka.

„Pobłogosławcie dostojnej parze cienie nieszczęsnych ofiar, co wciągnięci do gry genialną ręką Blanc'a—pożegnaliście cudowne ogrody Homburga i Monaco z przekleństwem na ustach, własną krwią je zraszając.”

+ W ostatnich dniach r. z. przedstawiono na scenie krakowskiej nową sztukę dramatyczną pod tytułem „Kościuszko.” Jest to obraz historyczny w 5 oddziałach a 7-miu odsłonach. Od rana tłumy cisnęły się do kasy teatru; na parę godzin przed przestawieniem wszystkie bilety zostały rozprzedane. Autor ukrył się pod pseudonimem „Lassota.” Oto jak pisze o tym utworze sprawozdawca jednego z pism miejscowych.

„Kościuszko” jest obrazem historycznym. Autor doskonale pochwycił i przedstawił koloryt epoki... Sprawa włościańska stanowi główne tło i treść dramatu. Wielka tradycya kościuszkowska podniesienia ludu wiejskiego, która ciągnie się odtąd przez całe dzieje nasze i stanowi ich myśl przewodnią, jest najdrogoceniejszym po owej epoce spadkiem, i autor potrafił przedstawić to przekonywająco, z głębszym na stosunki nasze poglądem. Z każdej sceny, z każdego słowa dramatu przemawia ta wielka prawda, że dzieło podjęte przez Kościuszkę aby powołać włościan do łączności z innemi warstwami w uczuciu ogólnem, i które mu się powiodło częściowo, i nam do spełnienia pozostało — nie na placu boju i w krwawych zapasach, ale przez codzienną wytrwałą pracę na polu społecznem, w zapasach z samymi sobą, z naszemi wadami i nałogami, z naszą opieszałością.

Utwór pana Lassoty żywe bardzo obudził zajęcie w publiczności krakowskiej. W smutnej owej epoce była to chwila tak piękna i jasna, iż blask jej na zawsze opromienił dzieje nasze wieńcem uczciwej chwały, której zaprzeczyć nam daremnie kuszono się nieraz, już to fałszując, już rozmyślnie zamilczając fakt świadczący niezaprzeczenie, że reforma stosunków włościańskich rozpoczęła się u nas kilkadziesiąt lat wcześniej i na szerszych podstawach niż we wszystkich niemal krajach europejskich. Następnie, wypadki polityczne, zatamowały a nawet cofnęły wstecz ruch narodowy na drodze postępu społecznego; nie zatarł się on jednak w pamięci obywateli i trwał niezmiennie w dążnościach zbiorowych, o ile one kiedykolwiek swobodniej wyrazić się mogły. Społeczeństwo polskie skrępowane warunkami swego położenia, musiało często pozostawiać bez odpowiedzi zarzuty stawiane mu ze złą wiarą, lub co najmniej z zupełną nieznajomością naszej przeszłości. Historya która nie zapomina, i zawsze wymierza sprawiedliwość — niezatartemi zgłoskami zapisała na kartach swoich Połoniecki akt Kościuszki. Ani chcemy ani potrzebujemy dziś odwoływać się do tego świadectwa dla odparcia fałszów puszczanych w obieg przez pseudo liberatów zagranicznych: ma ono wyższe dla nas znaczenie. Wskazuje udział obowiązków jakie nieprzestannie spełniać powinniśmy, dla wzmocnienia węzłów solidarności duchowej między ludem a klasami wykształconemi, użyczając nieświadomym braterskiej opieki i światła, gdzie można, i o ile można.

Taką właśnie myśl Lassota przeprowadza z wielkim talantem w dramatycznym utworze swoim „Kościuszko”.

+ Znana firma Hartlebena w Wiedniu, wydała w przekładzie niemieckim dwie powieści J. I. Kraszewskiego: Hrabinę Cosel i Ulanę. Krytyka niemiecka wielkie oddaje pochwały obu tym utworom i ich autorowi „sędziwemu poecie, znającemu świat i ludzi” przyznając że zalecają się mistrzowskiem określeniem epoki, charakterów i sprzeczności, między marnotrawnym, rozwiązłym i zepsutym dworem Augusta II-go a zubożonym i uciśniętym krajem. Rzadko, nader rzadko, zdarza nam się spotykać w dziennikach niemieckich tak bezstronną krytykę; sprawozdawca umiał zapomnieć plemiennej nienawiści, nie stara się rehabilitować koronowanego ziomka zasiadającego na obcym tronie, ale ocenia sprawiedliwie osobę jego i zgubny wpływ jaki wywierał na ogół i interesa państwa, które z ufnością losy swoje w jego złożyło ręce. Sprawozdawca berlińskiej Nord. Allgemeine Ztg. nazywa „Ulanę” sielanką, której wyborne obrobienie i charakterystyka, stawia utwor na takiej wysokości „że takie obrazy tylko prawdziwy geniusz skreślić może.”

„I oto jak wyraża się organ ks. Bismarck'a, w tym samym Berlinie, w którym nie dawno jeden z deputowanych odezwał się w parlamencie „że języka polskiego nie ma, że to tylko narzecze żadnego nie posiadające piśmiennictwa.”

+ Straszne jakieś przewroty odbywają się w łonie naszej ziemi. Trzęsienia ziemi stanęły na porządku dziennym, a zadawszy niedawno tak straszną klęskę pobratymcom naszym w Zagrzebiu, zawitały i do naszych granic w dniu 25 z. m. i roku. Najpierw dało się uczuć w Bessarabii, stamtąd posunęło się aż do gubernii Podolskiej i niektórych okolic guberni Chersońskiej. Na Pobereżu, w okolicach Dniestru, kilka wiorst od kolei Odesko-Kijowskiej, dały się kilkakrotnie uczuć w ciągu minuty lekkie wstrząśnienia. Trzęsły się drzwi i małe przedmioty porozkładane w mieszkaniach, a jednocześnie dziwny jakiś huk słyszeć się dawał. W Olwiopolu trzęsienie ziemi trwało, jak donoszą, 15 sekund. Najpierw usłyszano dość wyraźny huk podziemny, a po nim dwa wstrząśnienia, pierwsze daleko silniejsze niż drugie, Falowanie było tak wyraźne że można było dostrzedz chwianie się domu; lampy stojące na stołach pochylały się. Dalej na północ, aż w Winnicy, trzęsienie trwało kilka sekund, poprzedził je huk podziemny. We wsi Pietniczanach, w kościele KK. Kapucynów i w pałacu hr. Grocholskich, wyraźnie widziano chwianie się obrazów wiszących na ścianach. Inne drobne przedmioty także się poruszały. Z Kiszyniewa donoszą że tam silne trzęsienie ziemi trwało aż 15 sekund; wiele domów popękało; strach paniczny ogarnął mieszkańców. W Bielcach, było bardzo silne i znaczne poczyniło szkody. W Tyraspolu nastąpiło podczas pięknej pogody i przy 4 stopniach ciepła; było ono faliste, posuwało się w kierunku południowo wschodnim; trwało około 10 sekund. Jednocześnie dał się słyszeć szum podobny do wycia wiatru; mury domów kołysały się, sprzęty trzęsły i przewracały. Łatwo sobie wyobrazić trwogę i przerażenie mieszkańców.

Z Odessy nadeszły więcej szczegółowe wiadomości. Trzęsienie nastąpiło jak wszędzie dnia 25 grudnia, około szóstej wieczorem. Dało się uczuć kilka wstrząśnień niejednako silnych i trwających około 10 sekund. Osoby znajdujące się w bibliotece publicznej, wybiegły z niej chcąc przekonać się co się stało. Na wyższych piętrach tegoż gmachu dało się uczuć kołysanie podłogi; meble się poruszały. W wielu sklepach słoje i butelki uderzały z brzękiem o siebie; w jednej z aptek szafy się poprzewracały i potłukły lekarstwa. W wielu domach ściany się porysowały. W jednym z nich lokator śpiący wypadł z łóżka na ziemię. W kilku miejscach szyldy pospadały, poodrywały się gzymsy. Mieszkańców szczególniej bojaźliwych, strach paniczny ogarnął, kobiety mdlały.

Donoszą z Białej Cerkwi że i tam w tymże dniu 25 grudnia; dało się uczuć trzęsienie ziemi o godzinie 5-ej po południu, i trwało kilka sekund. Straszny ten gość coraz więcej zbliża się do nas.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie balowe z wyciętym stanikiem. Do sukni z jedwabnej gazy zagarnirowanej plisowanemi falbankami, z tyłu przysłoniętemi lekko podpinanym prostym brytem, dodany stanik pluszowy. Fantazyjnie przewiązana szarfa, spięta bukietem jest z materyi surah. Mufka z tejże materyi i koronek zdobna gałązką kwiatów. Niezmiernie długie rękawiczki zakończone w górze girlandami z kwiatów.

Ubranie balowe ze stanikiem pod szyję. Na sukni atłasowej garnirunki dane z tiulu, falbanki naszywane atłasową wstążeczką. Tunika z jednego boku podpięta bardzo wysoko ma bryt przedni zakończony atłasowem obłożeniem kończącem się z boku szarfą. Stanik atłasowy z wykrojem podłużnym dopełnionym stojącym kołnierzem, suto podgarnirowanym.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 31 Декабря 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 3 r. 1881.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

— Biedna dziewczyna! pomyślał, nic się nie zmieniła; zawsze jeszcze dziecko i brzydka jak dawniej.

Rzeczywiście Stenia należała do dziewcząt rozwijających się zbyt późno, a delikatne jej zdrowie przedłużało nad zwykły termin ową nieszczęsną epokę, zwaną epoką brzydoty. Zbytnia chudość uwydatniała ostre kąty, była dość wysoka, ale tak wszędzie równa, iż nikt nie umiałby oznaczyć gdzie się u niej stan zaczyna. Ręce wydawały się bezmiernie długie, włosy miała piękne, ale za wielkie na jej małą główkę, skutkiem czego wyglądały jak peruka. Cera żółtawo-blada i bardzo blade usta nie dodawały jej wdzięku. Oczy tylko były bardzo piękne, wielkie podłużne, ocienione długiemi rzęsami; raz wydawały się szafirowe, to znów czarne, odnośnie do padającego światła. Piękne te oczy tak były pełne wyrazu, takie ciskały płomienie, iż mogłyby okupić brzydotę twarzy, lecz sprzeciwiały się temu sine pod niemi koła, przez co wydawały się zbyt zapadłe, a ożywiające je płomienie gasły zbyt prędko.

Jerzy pozostał więc pod wpływem pierwszego wrażenia, które nie zmieniło się bynajmniej gdy przechadzał się ze Stenią pod lipami, podczas gdy pan de Santis poszedł naprzeciw jej ojca. Zapomniał zupełnie o jej płci i wieku.

— Czy wesoło przeszła ci zima spędzona w Paryżu? zapytał z uśmiechem.

— Skorzystałam wiele w naukach i znaczny postęp zrobiłam w muzyce, ale bardzo, bardzo boleśnie czułam rozłączenie z ojcem twoim.

— Ojciec mój zawsze jest wiernym twoim przyjacielem i sprzymierzeńcem?

— Ach! czemże on jest dla mnie! odrzekła z uczuciem, podnosząc na niego swe zwilżone oczy tak żywym płonące ogniem, iż spojrzenie to olśniło go prawie.

Lecz gorący ten płomień sekundę zaledwie gorzał w jej oczach i zagasł, a odblask jaki rzucił na jej wydłużone rysy, znikł niebawem, ustępując miejsca zwykłemu brakowi wszelkiego powabu.

— Już zdawało mi się że się zmienia na korzyść, rzekł sobie Jerzy... dobre, bardzo dobre ma serce, ale zawsze brzydka. I w myśli ujrzał postać pięknej białej i różowej Niemki, której regularne rysy nic nie zostawiały do życzenia.

Wieczerza przeszła bardzo wesoło. Stenia bawiła go swą naiwną i dowcipną zarazem rozmową; radość zapełniająca serce, szczególniejszego dodawała jej powabu. I swemu i Jerzego ojcu wydawała się pełną uroku. Jerzy także upojony był powrotem i zobaczeniem ojca i przyjaciół; to też czas zszedł im tak prędko iż ani spostrzegli gdy nadeszła godzina rozstania.

— A! cóż to za szczęście wiedzieć że się jutro zobaczymy! zawołała Stenia, żegnając Jerzego uściśnieniem dłoni.

Jerzy wraz z ojcem do połowy drogi odprowadzili przyjaciół, poczem powrócili do siebie. Księżyc roztaczał do koła bladawe swe światło: Jerzy milczał. Myśli jego odbiegły bardzo daleko, a postać którą widział oczami wyobraźni, nic a nic nie była podobna do biednej Steni. Lecz łatwo przypisywać innym myśli którebyśmy wzbudzić w nich pragnęli—to też i ojciec jego od tak dawna żywiący w duszy upragnioną nadzieję, sądził że i syn podziela jego dążenia.

— Wszak prawda że kochane do dziewczę odznacza się bardzo szlachetnym charakterem, pięknemi przymiotami umysłu i serca? Bardzo wiele zyskała pod względem ukształcenia i talentów, reszta przyjdzie powoli... już teraz bardzo na korzyść się zmienia—chwilami jest prawie ładna... Ach! Jerzy. jakżebym pragnął za jakie dwa lata widzieć połączone nierozerwalnym węzłem, dwie istoty które tak gorąco kocham!

— Połączyć mnie ze Stenią!... O! nie mój ojcze!... nigdy!... nigdy!... Nie myśl o tem, to niepodobieństwo. Nigdy nie mógłbym pokochać Steni, a za nic w świecie nie ożenię się bez miłości.

Hrabia przystanął; w twarzy jego odbił się wyraz wielkiej boleści; Jerzy żałował teraz że wyraził się tak stanowczo.

— Dobry, kochany ojcze, rzekł z uczuciem, bardzo, bardzo mi przykro że muszę rozwiać tak miłe ci marzenie—ale w takich razach lepiej wiedzieć zawczasu że jest to niemożebnem. Stenia ma wiele przymiotów i pewny jestem że z czasem więcej ich jeszcze w niej się rozwinie—ale mimo to nie mógłbym jej pokochać. Przebacz mi, drogi ojcze, że mówię tak otwarcie, ale nie chciałbym aby ojciec Steni mógł powziąść myśl podobną.

— Czyż sądzisz że nie pragnie tego równie gorąco jak ja?... było to oddawna najdroższem naszem marzeniem... co za szkoda że i ty go nie podzielasz!...

Jerzy zamilkł: wzruszenie przebijające w głosie ojca dało mu poznać jak drogie były obu przyjaciołom owe zamki jakie zbudowali na lodzie, a które on tak nagle obalił. Zasmuciło go to bardzo; przeszedłszy do swego pokoju nie mógł się oprzeć chęci złorzeczenia wszystkim brzydkim dziewczętom.— Niech je licho porwie! zawołał.

— Lubię bardzo Stenię, pomyślał—ale pojąć ją za żonę... za nic w świecie!...

Następnych dni zauważył że pan de Santis nieustannie zaprasza go do Roques, starając się zarazem nastręczać mu tysiączne sposobności aby jak najwięcej przebywał ze Stenią i aby tym sposobem powróciła dawna ich poufała zażyłość. Jakoż po pewnym czasie Jerzy uczuł iż mimowolnie ulega wpływowi tej prostej, dziewiczej natury Steni, której wszystkie pojęcia były czyste i wzniosłe. Wyższy jej umysł uprawiany przez dwóch niepospolitych ludzi, jej serce tkliwe zdolne do najwznioślejszych poświęceń, musiały oddziaływać na niego,—a jednak powierzchowność jej zawsze równie jednakowo mu się niepodobała, i coraz silniej utwierdzał się w powziętem postanowieniu.

— Ja chcę miłością kochać moją żonę! mówił sobie, a Steni nigdy tak kochać nie będę.

Czuł że postanowienie jego i odbierane wrażenia jakiś dziwny w duszy jego sprawiały zamęt; pare drobnych okoliczności dały mu poznać że ulubiona nadzieja odżyła w sercu ojca, postanowił więc raz położyć temu koniec.

W przeddzień spędził wieczór na pełnym ślicznych kwiatów tarasie ogrodu w Roques, wpatrując się na usrebrzoną światłem księżyca zwierciadlaną wód powierzchnię, na wioskę jakby uśpioną wśród ogólnej ciszy, i odczuwał w duszy ten pokrzepiający spokój jaki przed zapadnięciem nocy roztacza się w przyrodzie. Stał obok Steni wsparty o balustradę, nagle usłyszał pół głosem wyrzeczone słowa:

— Cóż to za uroczy krajobraz! jak miło napawać się jego widokiem obok tego co najwięcej kochamy w życiu!...

Mowiła to z okiem wlepionem w przestrzeń, nie zwracając się do towarzysza lat dziecinnych. Ojciec jej i pan de Fleynac siedzieli tuż obok, więc słowa jej mogły się do nich odnosić, ale głos jej dźwięczał tak niewysłowioną słodyczą i taką jakąś nieznaną w nim nutą, iż Jerzy drgnął i prędko spojrzał na Stenię i w jej niewinnej, dziecinnej prawie twarzyczce, oświeconej odblaskiem księżyca, wyczytał wyraz głębokiej bezwiednej miłości. Rozrzewniało go to ale i zmieszało bardzo, lecz nie zmniejszyło bynajmniej jego prawie odrazy do brzydoty Steni. Jako uczciwy człowiek i szczery przyjaciel pana de Santis i jego córki, nie chciał narażać ich na zawód, i nazajutrz zaraz namówił ojca na wycieczkę do Biarritz.

Hrabia de Fleynac nic nie wiedział o tem co zaszło na tarasie ogrodowym, ale może przeczuwał niebezpieczeństwo zagrażające jego ukochanej Steni, tem więcej że tak całe zachowanie się syna, jak i ta nagła propozycya wyjazdu wszelką odbierała mu nadzieję; zgodził się więc chętnie na wyjazd. Smutne to było rozstanie. Pan de Santis był smutny i zaniepokojony; Stenia bledsza i niestety! brzydsza niż kiedykolwiek, gdyż nawet oczy blask swój postradały. Nie wyrzekła słowa, nie rzuciła się przy pożegnaniu na szyję młodzieńca, z głośnem łkaniem, jak to bywało dawniej ilekroć się rozstawali, ale twarz jej zmieniona, zaciśnięte nerwowo ręce taką zdradzały boleść iż Jerzy wzruszony ujął jej dłonie, uścisnął serdecznie i pocałował w czoło. Nie chciał zadawać sobie pytania co jest smutku przyczyną —czyż dziecięce dotąd serce dziewczęcia nagle zbudziło się do życia? czy przejrzało że ten odjazd jego nakazuje jej na zawsze wyrzec się szczęścia? Jak zazwyczaj mężczyźni, chciał unikać niemiłych wrażeń, a zanadto był jeszcze młodym aby ocenić uczucia i przymioty kryjące się pod tak niepowabną powierzchownością. W drodze czuł się zadowolnionym że oszczędził sobie bezcelowych wrażeń, i swobodny starał się zabawiać i rozrywać ojca; jakoż wkrótce dokazał tego iż zdołał złagodzić jego smutek, który niekiedy tylko zdradzały ciche westchnienia i często do Roques pisywane listy. Po krótkim pobycie w Biarritz, Jerzy wprost stamtąd odjechał, hrabia sam tylko powrócił do Belourde. Przyjaciele oczekiwali go z upragnieniem i powitali serdecznie, a Stenia okazywała się może czulszą jeszcze niż dawniej.

Przy końcu jesieni, obaj przyjaciele siedzieli przed kominkiem w sali biblioteki w pałacu de Roques, pan de Santis rzekł do hrabiego:

— Stenia rośnie i rozwija się, nic jej nie można zarzucić pod względem ukształcenia serca i umysłu, ale powierzchowność wiele zostawia do życzenia —a to wiele, bardzo wiele znaczy... szczególnej na niektórych osób... Ostatnie słowa wypowiedział z pewnym odcieniem goryczy. Zdaje mi się że Ste-

nia koniecznie potrzebuje nabyć znajomości świata i jego zwyczajów, nauczyć się ubierać i nabrać salonowego obejścia, i dla tego zamierzam całą tę zimę zabawić w Paryżu i wprowadzić ją w świat, pod opieką kuzynki mojej pani de Chamfort.

— Jeszcze jest bardzo młodziutka, odrzekł hrabia; dla dokonania tej metamorfozy dwóch lat będzie trzeba, gdy więc powrócicie do nas będzie mieć lat ośmnaście.

Pan de Santis westchnął ciężko i nic nie odpowiedział.

Stenia spędziła w Paryżu całą zimę i wiosnę i dopiero na lato powróciła do Roques. Wtedy hrabia napisał do syna:

„Czy nie zajrzysz tego roku do Belourde? chciałbym pokazać ci cudowną przemianę jaka tu zaszła; mała małpka zamieniła się w ślicznego rajskiego ptaszka. Może wpłynęłoby to także na zmianę pewnych twoich postanowień."

Ale Jerzy zaplątał się wówczas w złocone sidła, których zrywać najmniejszej nie miał ochoty. Odpowiedział więc ojcu że nigdy jeszcze nie pomyślał nawet o ożenieniu, a co do Steni ta nigdy nie może być dla niego czemś więcej jak towarzyszką lat dziecinnych.

Do napisania listu tego do syna, spowodowało hrabiego widocznie niezadowolnienie przyjaciela. Od ostatniego wyjazdu, Jerzy ani się pokazał, co kazało mu wnosić że upragniony przez niego związek nie da się urzeczywistnić; dotknęło to boleśnie pana de Santis, jednak mimo obrażonej dumy nie mógł powstrzymać się aby nie zapytać przyjaciela:

— Czy Jerzy nie przyjedzie tu wjesieni? i mówiąc to patrzył na przechadzającą się po tarasie wysoką i wysmukłą, bardzo powabną dziewczynę.

— Nie spodziewam go się wcale,—widać coś go tam przykuwa do miejsca.

— Ach! odrzekł pan de Santis z pewnym naciskiem, jeźli tak odkładać będzie swój przyjazd, Stenia pójdzie za mąż zanim przybędzie.

— Lękam się tego, odrzekł hrabia, i łzy zabłysły w jego oczach.

Pan de Santis zrozumiał; odtąd ani już wspomniał o Jerzym, ale w sercu żywił głęboki żal do niego, i odtąd jedyną jego myślą było aby ukochana jedynaczka świetną zrobiła partyę. Jerzy śmiał odrzucić rękę Steni! pokaże mu że Stenia ładna, bogata, wysoko ukształcona, może znaleźć męża daleko świetniejsze zapewniającego jej stanowisko niż gdyby została żoną sekretarza ambasady.

Stenia milczała; zdawało się że ani żywi nadziei, ani doznaje boleśnego zawodu; miewała chwile przygnębienia i smutku, w których zdawało się że wszystko na świecie jest jej zupełnie obojętnem, oprócz ojca i starego przyjaciela. Można to jednak było tłomaczyć jej delikatnem zdrowiem, a nareszcie powoli objawy te przestały się pojawiać. Nie wróciła wprawdzie dawna głośna jej wesołość, ale miała humor jednostajny, miły i pogodny, a wewnętrzne jej uczucia i wrażenia zupełnie się nie objawiały. Z przeszłości zachowała tylko przekonanie, boleśnem nabyte doświadczeniem, że jest nieładna i podobać się nie może—jednakże z tego niekorzystnego o sobie mniemania, uleczyło ją ogólne uznanie i powodzenie w świecie, dzięki pani de Chamfort która zajmowała się nią z prawdziwie macierzyńską troskliwością.

Jakoż w drugim roku swego pobytu w Paryżu, Stenia zmieniła się do niepoznania. Urosła bardzo i nabrała ciała; zbyt długie dawniej i chude ręce teraz pełne i kształtne, najzupełniej odpowiadały wzrostowi i kształtnej, wysmukłej kibici.

Płeć jej była teraz przejrzysto-białą, a delikatność jej uwydatniały długie czarne rzęsy, pięknie zarysowane brwi i bujne sploty ciemnych włosów. Owal twarzy zaokrąglił się; usta zarumieniły i powabnym nęciły uśmiechem. Wielkie i piękne czarne oczy jaśniały odblyskiem rozumu, dobroci i wzniosłości duszy, uderzającej nawet tych coby jej pojąć nie umieli.

Kończyła lat dziewiętnaście; jedna z tych osób zdających się szukać sposobności robienia ludzi nieszczęśliwymi, zaczęła namawiać pana de Santis aby *wydał* córkę za wicehrabiego d'Éricey.

Feliks d'Éricey miał wtedy lat dwadzieścia cztery. Nie miał już ojca, a matka kobieta w podeszłym wieku i nadzwyczaj skąpa, trzymała go dotąd bardzo krótko i nie dawała pieniędzy; podobał jej się związek z bogatą jedynaczką i bez trudności nakłoniła syna aby się oświadczył o rękę panny de Santis. Pan d'Éricey myślał tylko o tem że ożenienie to wyzwoli go z ciężkiej kuratelli, zapewni swobodę i majątek których łaknął tak dawno. Sama nadzieja że wyswobodzi się z pod tyrańskiej opieki matki, nie dającej się ani podejść ani oszukać, godziła go z myślą o małżeństwie. Nosił piękne nazwisko, miał świetne stosunki familijne, wiedziano że w przyszłości odziedziczy wielki majątek, a nadto, dzięki żelaznej ręce powstrzymującej go matki, uchodził za wzór nienagannego prowadzenia się i moralności.

Kłamstwo i udawanie stało się dla niego chlebem powszednim, łatwo mu więc było oszukać pana de Santis, który pewnym był że pretendent do ręki córki jest perłą najczystszej wody. Stefania nie marzyła już o małżeństwie z miłości; ślepo posłuszna ojcu nie sprzeciwiała się jego woli; tak więc—jak to jest zwyczajem w Paryżu—małżeństwo bardzo prędko zostało zawarte.

Hrabia de Fleynac przybył do Paryża na ślub, i narzeczony nie bardzo mu się podobał. Ośmielił się nawet powiedzieć staremu przyjacielowi że przyszły zięć jego wydawał mu się zanadto słodziutkim i niekiedy wyraźnie mija się z prawdą.

— Eh! stary mój przyjacielu! czy to czasem nie zazdrość przemawia przez ciebie? odrzekł pan de Santis z tryumfującą miną.

Odtąd hrabia żadnych już nie robił uwag, tylko obsypywał Stefanię pieszczotami i bogatemi podarunkami. Jerzy napisał bardzo serdeczny list do towarzyszki lat dziecinnych i przysłał jej prześliczną zastawę z weneckich kryształów; list ten jego, zroszony łzami, Stefania schowała do kassetki zawierającej najdroższe jej pamiątki. Pobrawszy się, państwo d'Éricey wyjechali w podróż poślubną do Szwajcaryi, a na prośbę Steni hrabia de Fleynac zabawił parę tygodni w pałacu des Roques, aby pan de Santis czuł się mniej osamotnionym.

Niestety! nigdy już nie miał zobaczyć córki; zachorował nagle, pan de Fleynac wysłał telegram do przebywających w górach szwajcarskich córki i zięcia. O! jakże straszne są podobne wieści, po których tak długo trzeba oczekiwać bliższych szczegółów. Żyć między nadzieją i trwogą!

Zanim biedna Stefania zdążyła przybyć było już po pogrzebie; nie mogła więc nawet uściskać po raz ostatni tego kogo najwięcej kochała na ziemi, który był jedynym jej opiekunem i podporą, najlepszym w życiu przewodnikiem. Kto zna co jest cierpienie, pojmie co przecierpiała — słowami opisać tego niepodobna.

W takich to chwilach życia najlepiej oceniamy wartość szczerego współczucia, szczególniej pochodzącego od osoby mogącej dla kobiety stać się *wszystkiem*, podporą, pociechą, osłodą, jedynem światłem rozjaśniającem noc panującą w sercu—*wszystkiem* lub *niczem*... otóż pan d'Éricey stał się *niczem!* W pierwszych dniach, dopóką zostawał pod wrażeniem powabów żony, okazywał niejaką litość na jej boleść zbyt głęboką i wielką aby nie była wzruszającą — ale niebawem inne ogarnęło go wrażenie.

Ta śmierć niespodziewana czyniła go panem całego majątku żony, a tem samem dozwalała nareszcie zakosztować upragnionych uciech Paryża, i użyć w najrozleglejszem słowa tego znaczeniu, upajających jego rozkoszy. Tak nagła zmiana zawróciła słabą jego głowę; nie umiał ukryć co go zajmowało wyłącznie, co wzbudziło w Stefanii niewysłowiony wstręt i odrazę. I nie dziw, wzrosła i żyła dotąd w czystej atmosferze wzniosłych i delikatnych uczuć między dwoma szlachetnymi i uczciwymi ludźmi; a więc dotknięta przez męża w najdroższych swoich uczuciach, musiała osądzić go surowo. Im lepiej go poznawała, tem większą uczuwała dla niego pogardę. Obojętnem więc jej było że mąż zaniedbywał ją zupełnie, i powoli stali się obcymi dla siebie.

Cóżby się z nią stało. gdyby nie obecność i opieka pana de Fleynac, którego pan de Santis mianował egzekutorem testamentu; korzystając z tej sposobności hrabia nie spuszczał z oczu ukochanej swojej Steni. Prędko bardzo poznał i ocenił pana d'Éricey. Przez cały czas który interesa zniewalały go zabawić w Paryżu, zawsze młodą kobietę zastawał zupełnie samą, gdy jednocześnie mąż jej zasłynął głośno ze skandalicznego życia jakie wiódł w klubach i najgorszych towarzystwach.

Wieść o złem prowadzeniu się i marnotrawstwie syna, doszła do cichego zakątka w którym mieszkała jego matka, co tak boleśnie ją dotknęło iż nagłą skończyła śmiercią. Odziedziczywszy własny majątek, Feliks puścił wodze rozpasanym swoim namiętnościom. Daremnie, po skończeniu żałoby, młoda żona starała się uprzyjemnić mu dom, i w tym celu przyjmowała najdobrańsze, najwykwintniejsze towarzystwo; salon jej zasłynął wkrótce w Paryżu, dobijano się o zaszczyt bywania w jej domu—mąż tylko zawsze prawie bywał niewidzialnym. Ta tak młoda i powabna zupełnie opuszczona kobieta, ogólne budziła współczucie, i wkrótce wyjątkowe zajęła stanowisko w wielkim świecie paryzkim, w którym tak trudno ogólne pozyskać uznanie. Po upływie trzech lat, nie było kobiety tak powszechnie lubionej i wysoko cenionej jak pani d'Éricey — ani też więcej zaniedbywanej przez męża Piękność, młodość, ogólny szacunek, jakoteż niezrównana dobroć i łagodność w jej zachowywaniu się względem niego, żadnego na pana d'Éricey nie wywierały wpływu; nęciła go jedynie swoboda panująca w klubach i rozpasane towarzystwo kobiet do których żona jego niczem nie była podobna. Szalona gra, rozpustne pohulanki, jedyną jego byty rozkoszą; słaby charakter, będący mieszaniną pychy, skąpstwa i marnotrawstwa, zupełne zatracenie poczucia własnej godności, odstręczały od niego wszystkich uczciwych ludzi, czyniąc zarazem pośmiewiskiem Paryża.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

— Nie, myślałam depcząc kawałki listu, nigdy już nie dopuszczę się podobnej nikczemności, popełniłam ją raz, ale nie powtórzy się to już nigdy. Nie byłam jeszcze wtenczas narzeczoną Ulryka, działałam pod wpływem przestrachu, i nie rozumiałam całej wielkości mego przewinienia, ale teraz już wiem że nie ma pośredniej drogi, że nie pozostaje mi nic jak tylko postępować szczerze z kuzynem Ulrykiem, lub zerwać z nim zupełnie.

Czułam że nie miałabym siły chwycić się tego ostatniego środka postanowiłam więc zachować się tak jakbym wcale nie odebrała listu od pana Dawid'a. Jakiekolwiek mogą wyniknąć z tego skutki nie odpowiem mu już nigdy.

Następnie starałam się odwrócić myśli od tak przykrego dla mnie przedmiotu, i przypomniałam znów sobie scenę w cieplarni. Jakie też to pociągnie skutki, myślałam z pewną obawą, i czy kuzynka Maryanna sądzi rzeczywiście że odbieram listy od jakiegoś gentlemana.

Doprawdy możnaby sądzić że przyjaciele moi uwzięli się na to aby mnie stawiać zawsze w najprzykrzejszym położeniu. Najprzód Felicya przesyłając mi list od pana Dawid'a, i przekraczając tym sposobem, z niedarowaną lekkomyślnością, najprostsze przepisy przyzwoitości. Następnie pan Moore, oddając mi tak niezręcznie ten przeklęty bilecik, nakoniec kuzynka Maryanna wygłaszając tak ubliżające mi podejrzenia. Ah! jakże byłabym szczęśliwą gdybym mogła powiedzieć wszystko memu opiekunowi drogiemu, ale jakkolwiek ubolewałam nad tem że milczeć muszę, jakkolwiek miałam żal do tego który mi narzucił swą tajemnicę, nie byłam zdolną jej zdradzić, skoro przyrzekłam że nie wyjawię jej nikomu.

Obmyłam zimną wodą zapłakane oczy, poprawiłam włosy i udając spokojną i obojętną weszłam do salonu. Nie było tam pana Moore, i widziałam że kuzynka Maryanna spogląda na mnie podejrzliwie, jakby posądzała że byliśmy razem przed chwilą. Jednak ani w tej chwili ani też później nie uczyniła najlżejszej wzmianki o naszej sprzeczce w cieplarni, sądziłam więc że z tej strony nie zagraża mi żadne niebezpieczeństwo.

W następnym tygodniu ciotka Julja, lord Oton i pan Moore wyjechali z Trampton, i następnie dni upływały nam tak cicho i spokojnie, że zapomniałam zupełnie o przykrościach i nieporozumieniach spowodowanych obecnością Ernesta Moore. Już trzy tygodnie spędziłam wśród mej rodziny, a jeszcze cztery miały upłynąć do mego ślubu który stosownie do życzenia sir Lionela miał się odbyć w Trampton. Lord i lady Halsted wzięli także na siebie koszta całej wyprawy. Co do mnie czułam się w ich domu zupełnie jak u siebie, i nie życzyłam sobie nawet oddalić się z niego przed ślubem.

Kuzynka Maryanna przeciwnie nudziła się w tym ogromnym pałacu, w którym nie mogła mieszać się do niczego, i pragnęła wrócić jak najprędzej do Rockborough. Kuzyn Ulryk powiedział mi nawet że już kilka razy chciała wyjechać z Trampton, ale on nie pozwolił na to, pod pozorem że obecnie w obydwóch domach taki panował nieład że niepodobno w nich mieszkać. Rzeczywistym jednak powodem dla którego nie chciał zezwolić aby siostra wróciła do niego, było to, że postanowił urządzić dla niej zupełnie oddzielne mieszkanie i chciał ją uwiadomić o tem jeszcze w czasie jej pobytu na wsi, aby już odrazu pojechała do siebie. Kiedy dowiedziałam się o tem od Ulryka, nie wiedziałam sama co mam na to powiedzieć, gdyż ten zamiar miał swoje dobre i złe strony. Przyjemnie mi było pomyśléć że kuzynka Maryanna nie będzie mnie ścigać jak mój własny cień, krytykując wszystkie moje czynności lub łając mnie jak gdybym była małem dzieckiem; ale czułam także że to rozłączenie będzie nader bolesnem dla biednej Maryanny, która spędziła całe życie obok brata, jego tylko kochała, i myślała tylko o nim.

Wiedziałam że mnie nie lubi, że jest zazdrosną, zrzędną, przykrą w pożyciu, ale też zadawałam sobie pytanie, coby się działo w mojem sercu, gdyby mi powiedziano że ten którego kochałam i ceniłam więcej nad wszystkich w świecie, nie chce mnie już widzieć pod swym dachem, życzy sobie abym mieszkała samotnie, zdala od niego.

Przedstawiałam sobie moją biedną starą kuzynkę, (wydawała się starszą od brata o dziesięć lat przynajmniej, chociaż rzeczywiście było między nimi tylko parę lat różnicy), przedstawiałam ją sobie samotną, w małym domku, tęskniącą za wygodami i przyjemnościami do których przywykła, a nadewszystko opłakującą gorzko stratę tego towarzystwa i przywiązania, które ja miałam zagarnąć wyłącznie.

Pojmowałam to że mogła znienawidzić osobę wydzierającą jej to co miało dla niej największej uroku. Już i tak wyrządziłam jej dosyć złego zajmując pierwsze miejsce w sercu i domu jej brata, czy miałam jeszcze pozbawiać ją jednocześnie wszelkich przyjemności życia? Był to wyrok tak okrutny że nie miałam odwagi zgodzić się na niego i zatwierdzić.

Z drugiej znów strony, moja własna przyszłość przedstawiała mi się niezbyt ponętnie gdyby kuzynka Maryanna pozostała z nami; przewidywałam że w takim razie nie będę miéć ani jednej spokojnej godziny, ani też jednego kącika w moim własnym domu, w którym mogłabym być zupełnie swobodną Niepewna co mam czynić nie spieszyłam się z objawieniem mego zdania kuzynowi Ulrykowi, pomimo że często miałam do tego sposobność. Co do niego mówił o rozłączeniu z siostrą jako o rzeczy zupełnie naturalnej i słusznej, jako o jedynym sposobie utrzymania między nami spokoju i zgody. Był jednak dobrym bratem, kochał siostrę i sądził że nie zmienił się wcale pod tym względem; ale jak każdy zakochany mężczyzna; myślał tylko o jednej rzeczy: o zapewnieniu szczęścia tej którą kochał a zarazem i swego.

Wiedział że nasze charaktery nie zgadzają się z sobą, że siostra jego chciałaby kierować mną jak małem dzieckiem, a ja pragnęłam wyswobodzić się zupełnie z pod jej władzy, sądził więc że sprawi mi przyjemność wyzwalając mnie od jej obecności. Biedna kuzynka Maryanna, jakże jej musiało być boleśnie ustąpić mi pierwszego miejsca w tem sercu które tak gorąco kochać umiało.

Gniewało ją to że brat wymagał aby pozostała tak długo w Trampton, ale pomimo to była mu posłuszną, a co więcej zgodziła się tak dalece ze swym losem, że przez całe dwa tygodnie nie wywołała najlżejszego nieporozumienia między nami. Towarzystwo nasze było teraz bardzo nieliczne, ale pomimo to czas schodził nam bardzo przyjemnie; babunia powtarzała często że Trampton będzie wydawał się bardzo smutnym tak jej jak sir Lionelowi, skoro ja nie będę go już ożywiać moją obecnością; słyszałam nawet raz że kuzynka Maryanna odpowiedziała że ją to wcale nie dziwi, bo widząc jak umiałam zjednać sobie ich przywiązanie, myślała o tem nieraz że będą tęsknić za mną.

Jakkolwiek była zupełnie przeciwną ożenieniu się brata ze mną, zajmowało ją bardzo wszystko co dotyczyło mej wyprawy, lub też urządzenia nowego naszego domu tak często mówiła o zajęciach i przyjemnościach jakie nas w nim czekają, że trudno było wątpić iż jest pewną że tam razem z nami będzie mieszkać, i spełniać w nim obowiązki naszego intendenta. Biedna, nie przeczuwała jak bolesnego miała doznać zawodu!

W parę tygodni po wyjeździe lorda i lady Vivian, oraz pana Moore, zeszłam na śniadanie w jeszcze weselszem jak zwykle usposobieniu. Nie przypominam już sobie co mnie wprawiło w tak dobry humor ale to pamiętam dobrze iż wbiegłam do sali jadalnej śpiewając; dopiero łagodny uśmiech ciotki Marry i babuni, przypomniał mi że przekraczam przepisy etykiety. W tym dniu tylko cztery osoby zasiadły do śniadania: babunia, ciotka, ja i kuzynka Maryanna, gdyż dziadunio był trochę słaby. i pozostał w swoim pokoju.

— Spóźniłaś się dziś trochę, rzekła wesoło ciotka Marry.

— Prawda, droga ciociu, przyznaję się do winy, odpowiedziałam, ale wczoraj położyłam się bardzo późno i dla tego spałam dziś dłużej. Czy głowa już cię nie boli, kuzynko Maryanno?

— Przeciwnie, bardzo mnie boli, Teodoro.

Powiedziała to tak zimnym i ostrym tonem, że pomimo woli zwróciłam na nią oczy. Wczoraj rozeszłyśmy się w najlepszej zgodzie, a od kilku już dni stosunki nasze były tak przyjazne, iż zadziwiłam się posłyszawszy że przemawia znów do mnie tak zimno i ostro, i chciałam zobaczyć czy wyraz twarzy odpowiada głosowi. Niestety! panowała między nimi zupełna zgoda; widocznie kuzynka Maryanna musiała się gniewać na mnie, gdyż zacisnęła usta i rzucała na mnie surowe i pogardliwe spojrzenia.

Wesołość moja znikła natychmiast, ale nie zadałam jej żadnego pytania, gdyż byłam pewna iż jeżeli jej się zdaje że coś zawiniłam, to wkrótce powie mi to sama.

Nie omyliłam się w moich przypuszczeniach, bo zaledwie zajęłam miejsce przy stole, kuzynka Maryanna wyciągnęła z pod swego talerza list, położyła go przedemną, i rzekła patrząc mi w oczy:

— Zdaje mi się że to list do ciebie, Teodoro. Przyszedł dzisiejszą pocztą, zapewnie z Londynu.

Mówiła to wolno, dobitnie, a jednocześnie wpatrywała się bystro we mnie.

Spojrzałam prędko na list i zarumieniłam się tak silnie, jakbym rzeczywiście poczuwała się do winy, gdy poznałam na kopercie pismo mego ojca. Uchwyciłam natychmiast list i schowałam go do kieszeni, podczas gdy kuzynka Maryanna śledziła mnie ciągle swym nieliościwie badawczym wzrokiem.

— Zapewnie jest to list od tej samej osoby, od której bilecik upuściłaś kiedyś w cieplarni, odezwała się znów takim tonem, jakby w tych jej słowach zawierało się jakieś ukryte znaczenie. Nie zadawaj sobie przykrości, Teodoro, możesz przeczytać go zaraz.

— O! nie ma nic pilnego, odpowiedziałam, usiłu-

jąc okazać się spokojną, pomimo że drżałam jak listek.

— Jest to list od osoby którą poznałam na pensyi, powiedziałam cicho.

— Widać że ta panienka mieszka teraz w Londynie, jak tego dowodzi pieczęć pocztowa. Czytajże, nie rób ceremonii.

Rozdrażniona szyderczym głosem kuzynki, chcąc jej pokazać że nie zwracam na to uwagi, i zbyt wiele zresztą rachując na moje siły, wyjęłam list z kieszeni i zaczęłam czytać. Ale wiadomość którą w nim znalazłam tak silne uczyniła na mnie wrażenie, że o mało co nie zdradziłam mej tajemnicy. Patrzyłam na list osłupiałym wzrokiem, czułam że siły mnie opuszczają, bladłam i rumieniłam się naprzemian, słowem niepodobna było aby wszyscy nie dostrzegli mego wzruszenia.

— Czy odebrałaś jakie złe wiadomości, Doro? zapytała niespokojnie ciotka Marry, w chwili kiedy zgniotłszy list w ręku schowałam go do kieszeni, i chciałam odwilżyć usta herbatą, której jednak nie mogłam przełknąć.

— Mój Boże! te biedne dziecko zemdleje, zawołała przestraszona babunia.

— Nie babuniu, odpowiedziałam, przemagając wysiłkiem woli moje osłabienie, i spoglądając na kuzynkę Maryannę, która ciągle tak uparcie wpatrywała się we mnie, jakby mnie chciała przebić oczyma. Zrobiło mi się słabo, ale to już przeszło zupełnie.

— To omdlenie było tak nagłe, odezwała się miss Ford, i nastąpiło tak prędko po odebraniu tego listu. Czy przeczytałaś go, Teodoro?

— Tak, przeczytałam, odpowiedziałam wyniośle.

— I nie zawiera w sobie żadnej wiadomości która?...

— Żadnej któraby mogła cię obchodzić, kuzynko Maryanno.

— Może chciałabyś wrócić do swego pokoju i położyć się? rzekła babunia; albo też może wolałabyś pójść do biblioteki i spocząć na sofce. Ciotka Marry przyśle ci tam śniadanie.

Pragnęłam gorąco być samą, przeczytać raz jeszcze ten list zawierający tak nieprawdopodobną wiadomość, i zastanowić się nad tem co miałam czynić, ale nie chciałam aby kuzynka Maryanna cieszyła się tem że mnie zwyciężyła, że mnie zmusiła do ucieczki, dla tego też odpowiedziałam:

— Dziękuję babuni, jestem już zupełnie zdrowa, i wolę tu pozostać.

Jednak przeceniłam moje siły, bo pomimo najszczerszych usiłowań nie mogłam przełknąć kawałka chleba, a nawet herbata zatrzymywała mi się w gardle. Udawałam więc tylko że jem i piję, ale nie poruszyłam się z miejsca; wytrzymywałam mężnie ciekawe i złośliwe spojrzenia kuzynki Maryanny, chociaż czułam że zapisuje sobie w pamięci każdą zmianę jaką dostrzegła na mej twarzy.

Kiedy nakoniec zamierzyłyśmy wstać od śniadania, dał się słyszeć turkot zbliżającego się powozu.

— Może to Wilfryd? zawołała ciotka Marry, lub też może Archibald miał jakiś interes w Rockborough?

Nie był to jednak żaden z nich, gdyż w parę minut później ujrzałyśmy z największem zadziwieniem Ernesta Moore.

— Pan Moore! zawołała babunia. Cóż pana do nas sprowadza? Może przynosisz nam jaką złą wiadomość o Julii lub o którem z ich dzieci?

Pomimo że sama byłam bardzo niespokojna i wzruszona, spostrzegłam zaraz że pan Moore był bardzo smutny i blady, i czekałam niecierpliwie aby nam wyjawił powód swego tak niespodziewanego powrotu do Trampton.

— O! nie, nic im się złego nie stało. o ile wiem przynajmniej, bo nie widziałem ich od kilku dni. ja idę prosto od rodziców, odpowiedział podając nam po kolei rękę na powitanie.

— Ale rodzice pana są zdrowi?

— Dziękuję, zupełnie zdrowi. Ojciec mój cieszy się już nadzieją świetnych polowań; utrzymuje że łowczy który przeszedł do nas z Trampton jest nieoceniony, że jeszcze nigdy nie było tyle zwierzyny w naszym parku jak obecnie.

Wszystko to nie tłomaczyło obecności pana Moore w Trampton, i bylibyśmy przeszli do biblioteki nie dowiedziawszy się nic więcej, gdyby kuzynka Maryanna nie wystąpiła z uwagą: że jeszcze nie wiemy co sprowadziło pana Moore do Trampton.

Siedział na krześle stojącem przy mnie, i widziałam że zarumienił się i zadrżał usłyszawszy to pytanie kuzynki Maryanny, nakoniec, po chwili wahania odpowiedział:

— Tak, ale co prawda, miss Ford, nie wolno wypytywać się członków ciała dyplomatycznego o powody ich czynności, jesteśmy często zmuszeni do milczenia.

Następnie, nie zważając na wyraz niedowierzania malujący się na twarzy kuzynki Maryanny, jak nie mniej na wyrzeczone przez nią półgłosem słowa: „Czynności dyplomatyczne w Rockborough? co za nieprawdopodobne brednie!" zwrócił się do mnie i szepnął cicho, korzystając z chwili w której wszyscy powstali aby przejść do biblioteki.

— Chciałbym pomówić z panią na osobności może pani zechce zatrzymać się tu chwilkę, lub chodźmy do ogrodu.

— Pójdę do ogrodu, odpowiedziałam prędko.

Wolałabym udać się do siebie, zastanowić się nad grożącem mi nowem niebezpieczeństwem i rozważyć co mi czynić wypada, ale był tak niespokojny, tak przygnębiony, że nie miałam serca mu odmówić; zamiast więc pójść do biblioteki wraz z innymi, wyszliśmy do ogrodu, i zaczęliśmy chodzić tam i napowrót po tarasie przed oknami.

— Byłem zmuszony poczęstować panią kuzynkę pigułką dyplomatyczną, ale w rzeczywistości przyjechałem tu dla tego jedynie aby pomówić z panią. Odebrałem bardzo smutny list od Felicyi.

— Bardzo mi to przykro, odpowiedziałam. Cóż się stało?

Wyjął z kieszeni list skropiony łzami, i pokryty drobniutkiem pismem mojej przyjaciółki, i dał mi go do przeczytania.

Tyle tylko mogłam zrozumieć z tego listu, napisanego bardzo źle pod względem stylu i ortografii że pan i pani d'Alvan uważając że młody gentleman nazwiskiem Moore, jest jeszcze zbyt młodym aby mógł zdać sobie dokładnie sprawę ze swych uczuć dla ich córki, a gdyby nawet rozumiał je dokładnie to nie jest w możności ożenić się zaraz, rozkazali córce aby zapomniała o nim, a oddała rękę tłustemu i staremu Holendrowi, którego już oddawna przeznaczyli jej na męża. Ten okrutny rozkaz wycisnął tyle łez z oczu biednej Felicyi, że ją prawie oślepiły, co jednak nie przeszkodziło jej donieść ukochanemu, o ich wspólnem nieszczęściu.

— Cóż pan zamierza czynić? zapytałam oddając mu list.

— Mam zamiar wyznać wszystko moim rodzicom i chcę właśnie prosić panią, abyś do nich przemówiła za Felicyą. Byłbym prosił o to listownie gdyby nie obawa że mogłoby to stać się powodem nowej dla pani przykrości, gdyby kuzynka pani zobaczyła mój list; po owej scenie jaką pani zrobiła w cieplarni, widzę że wszystkiego można spodziewać się po niej. Przeczuwam że rodzice moi nie zechcą zezwolić od razu na ten związek, że będą się starali zasięgnąć jakich pewnych wiadomości; przyszło mi więc na myśl że pani mogłaby rozproszyć wszelkie ich obawy, jeżeli pani pozwoli abym się powołał na jej świadectwo. Będzie pani mogła zaręczyć im że Felicya jest bardzo miła, i dobra jak anioł; że jest do mnie szczerze przywiązana, oraz nadmienić że jest zachwycająco piękną: słowem niech pani stara się przedstawić w najkorzystniejszem świetle tak ją jak i jej rodziców.

— Uczynię to jak najchętniej przez życzliwość dla pana i dla Felicyi, jeżeli tylko rodzice pana zechcą polegać na mojem zdaniu; kto wie czy nie jestem zbyt młoda aby mogli poprzestać na niem?

— Tak, ale pani zna dobrze Felicyę, a to znaczy bardzo wiele. Dziękuję pani, miss Fleming, nie potrafię wyrazić jak wielką ulgę przyniosła mi pani przyrzeczeniem swej pomocy.

— A jeżeli rodzice pana nie będą się sprzeciwiać?...

— Pojadę natychmiast do Brukselli, aby uwolnić Felicyę od starego Holendra, i w takim razie mój ślub nastąpi wkrótce po ślubie pani.

— Jak długo pan tu zabawi?

— Wyjadę zaraz po lunchu; gdyż potrzebuję jak najprędzej wracać do domu. Wszyscy tam sądzą że udałem się na parę dni do Londynu.

— A więc, do zobaczenia, rzekłam podając mu rękę, i odeszłam śpiesząc do mego pokoju. Na korytarzu spotkałam miss Ford w spacerowem ubraniu.

— Czy wyjeżdżasz gdzie, kuzynko Maryanno? zapytałam.

— Jadę do Rockborough, odpowiedziała niechętnie.

Wspomnienie miejsca tak dla mnie drogiego, ukoiło na chwilę moje troski, tak że uśmiechnęłam się nawet wesoło,

— Doprawdy! zawołałam, w takim razie zechciej powiedzieć kuzynowi Ulrykowi, że mu przesyłam serdeczne pozdrowienie.

— Teodoro, odpowiedziała, brzydzę się obłudą. Zatrzymałam się nagle.

— Ja także, kuzynko Maryanno, i sądzę że ty nawet nie możesz powiedzieć że jestem obłudną, odpowiedziałam śmiało.

Ale nie dokończyłam jeszcze kiedy kuzynka Maryanna zbiegła już ze schodów; patrzyłam na nią czas jakiś, a następnie weszłam do mego pokoju; nie miałam czasu zastanawiać się długo nad jej słowami. Rzuciłam się na krzesło przy biórku, i zaczęłam rozmyślać głęboko nad tem co mi czynić wypadało. Nie potrzebowałam czytać powtórnie listu który mnie tak ciężkiego nabawił niepokoju, każde jego słowo wyryło się głęboko w mej pamięci; jednak po chwili wyjęłam go z kieszeni, odczytałam kilka razy aby się przekonać że się nie mylę, a następnie upuściłam na kolana.

Nie omyliłam się niestety! pan Dawid znajdował się w Anglii, nawet w Rockborough, i wzywał mnie do siebie. Jakkolwiek list jego był krótki i skreślony pospiesznie, nie można było wytłomaczyć go sobie inaczej. Mój ojciec był w Rocborough, i jeżeli życzę sobie widzieć go jeszcze żyjącym (było to napisane wyraźnie), to powinnam przybyć najśpieszniej, do wskazanego mi w liście miejsca.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 2.

(Dokończenie).

N. 33—34. Spódniczki dwie pod suknie.

Spódniczki takie mogą być z wełnianego lub jedwabnego materyału, dla ciepła odrobione na flanelowej podszewce, jeżeli zaś użyjemy dobrej flanelki to podszewka byłaby zbyteczną. Rycina 33 przedstawia spódniczkę z kiprowanej niebieskiej flanelki, z wolantem marszczonym, oszytym koronką i z szerokim pasem przemarszczania z materyi surah niebieskiej; z pod wolantu wysuwa się plisowanie 8 centym. szerokie, układane z flanelki. Spódniczka ryc. 34 jest z czarnego atłasu na ponsowej flaneli; przybranie stanowi falbanka plisowana 5 centym. szeroka oszyta koronką, dalej cztery pliski atłasowe, a po nad niemi na 35 cent wzdłuż, atłas wraz z flanelą przestębnowany jest w półkola 2 cent. szerokie.

N. 36 Kapotka biała filcowa dla małej dziewczynki.

Fasonik kapotki ma główkę pokrytą gładko a rondko 6 cent. szerokie fałdowanym białym pluszem, przybranie zwierzchnie składa się ze skośu pluszowego 7 centym. i białej atłasowej wstążki 4 cent. szerokiej. Rondko od spodu podgarnirowane koronką i podpięte niebieską kokardą; końce do wiązania niebieskie atłasowe.

N. 37—41. Ubrania dla dziewczynek.

N. 37 i rycina 30 w N-rze 1. Szlafroczek dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 42—44a.

Fig. 42 i 43 podają formę szlafroczka kaszmirowego, na podszewce flanelowej; krająć z materyału potrzeba wzdłuż brzegów przednich i środkiem pleców naddać w całej długości na marszczenie, u dołu przodów 50 cent. przy plecach 35. Szerokość ta marszczy się ściśle podług formy karczka, odznaczonego linią prostą, niżej zaś puszczona jest wolno. Na zmniejszonym formacie kroju Fig. 42a i 43a forma położona jest na materyale złożonym w odpowiednią szerokość; z boków i w pasze do linii kropkowanej materyał ścina się podług formy, dalej zaś zostawia szerzej na marszczenie. Podszewka pod marszczonym karczkiem dana jest gładko, rękawy u dołu i u góry są również marszczone.

N. 38 i 30. Sukieneczka dla dziewczynki lat 2—4. Garnirunek patrz ryc. 62 w N-rze 1. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 45 — 50.

Plisowane oszycie sukienki princesse (ryc. 38 i 30), 15 cent. długie, dopasowywa się podług Fig. 45 — 50; na przyszyciu dana skośna atłasowa szarfa, 18 cent. szeroka. Przód zapięty niewidocznie na haftki ozdobiony jest plastronem (Fig. 45) zaszywanym w zakładki dopełnione wypustką atłasową; z boków plastronu dane rzędy guziczków. Rycina 62 w N-rze 1 wskazuje w naturalnej wielkości część zakładek z wypustkami.

N. 39 — 40. Fartuszek zapięty na ramionach dla dziewczynki lat 2—4. Krój na arkuszu Nr VII, Fig. 19.

Uszyty z materyału granatowego i ozdobiony 2 cent. szeroką langetką białą w rzucik kolorowy, przystębnowaną pliską granatową z białemi wypustkami. Z boków dodane kieszonki z klapkami.

N. 41. Sukienka princesse niewcinana dla dziewczynki lat 4 — 6. Patrz ryc. 29 w N-rze 1. Krój na arkuszu Nr XIV, Fig. 51 — 58.

Dopełniona jest plisowaniem podszytem od spodu i odrobiona formą paletota zapiętego niewidocznie z boku; Fig. 51 daje formę lewej połowy przodu z odznaczeniem prawej linii prostą; pod tę linię zachodzi plastron plisowany, dopełniony z boków wykładami podług Fig. 58 przyszytemi gładko od *d* do *f*. Przody i boki mają dodane części baskiny z kieszonkami, odznaczonemi linią prostą na Fig. 53; plisowanie u dołu sukienki zaobrąbia się do podszewki. Przody sukienki związane są dwiema kokardami ze wstążki atłasowej, 6 cent. szerokiej, odpowiednio po tego przy boczkach dana jest szarfa związana z tyłu.

N. 42. Pokrycie do sanek Deseń na ark. Fig. 83.

Eleganckie to przykrycie odrobione z białej flaneli z aplikacyą z ponsowego sukna; jednak praktyczniejsze jest w kolorze ciemno oliwkowym, piaskowym, popielatym lub t. p. Długość stanowi 100 centym., szerokość u dołu 178, w górze 178; falbanka liczy 6 cent szerokości. Fig. 83 załącza deseń jednego z narożników, który z boków dopełnić trzeba podług ryc. 52. Brzegi aplikacyi przedziergane są kolorowym jedwabiem lub włóczką; monogram na środku może być również aplikowany z sukna lub odrobiony haftem płaskim. Przykrycie dla ciepła ma dodaną watowaną podszewkę; w rogach powinny być przyszyte pentlice skórzane do zaczepienia przy sankach.

N. 43. Serwetka pluszowa z aplikacyą liści aksamitnych.



N. 1 — 3. Ubrania balowe.

N. 1. Suknia z długim trenem. N. 2. Suknia z bawetowym stanikiem. N. 3. Suknia z [illegible]

Kwadrat wiśniowego pluszu podszyty jest materyą koloru vieil-or, brzegi zaś otoczone koronką 3 cent. szeroką. Przyozdobienie bardzo efektowne stanowią liście aksamitne lub pluszowe, aplikowane w dwóch narożnikach; na modelu były liście pelargonii cieniowane zielone.

N. 44. Okrycie balowe. Krój na arkuszu Nr III, Fig. 10 — 13.

Model był z białego kaszmiru na lekko watowanej jedwabnej podszewce, wyszyty białym jedwabiem w maszynie; brzegi objęte puszkiem łabędzim na 8 centymetrów szerokości.

N. 45. Ubranie balowe z zarzutką i mufką.

Mufki które obecnie niezmiernie są modne, zaledwie mogą być tak nazwane, gdyż są to maleńkie pieścidełka wygarnirowane koronką, atłasem, wstążką i kwiatami, służące przy balowem ubraniu do pomieszczenia chustki, flakonika z perfumami, wsunięcia wachlarza i t. p. Na rycinie 45 widzimy mufkę z różowego atłasu z białą koronką i gałązką kwiatów; z boku długa kokarda z szerokiej wstążki. Zarzutka służąca jako sortie de bal liczy 2 metry długości a 50 cent. szerokości i jest z białej jedwabnej gazy z nitką srebrną, przemarszczana drobniutko w odstępach 3 cent. Końce oszyte szeroką frendzlą sznelową 10 cent. szeroką. Rękawiczki niezmiernie długie zakończone girlandą z kwiatów. Suknia jedwabna princesse podług ryc. 9 lub 12.

Opis do N-ru 3.

N. 1 — 2. Ubrania balowe.

N. 1. Suknia z długim trenem.

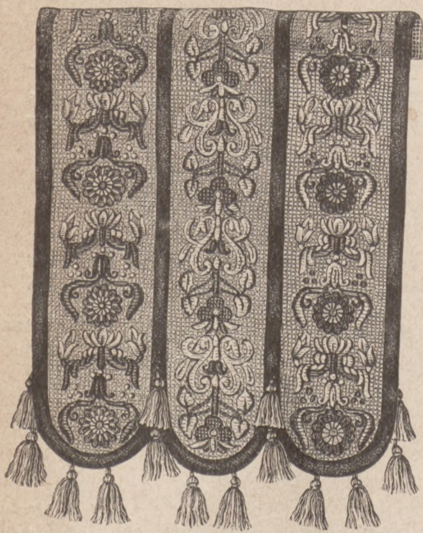
Przy strojnej sukni odrobionej z atłasu i adamaszku, wycięty stanik z przodu zakończony bawetem, z tyłu fałdowanem karczkiem, w górze dopełniony jest z przodu i z tyłu ubraniem szmizetkowem, z jedwabnego tiulu, z brzegów zakończonem rulonikami z atłasu i koronką. Z przodu na spódnicy ułożona jest w górze fałdowana draperya, oszyta frendzlą 8 cent. szeroką; u dołu przód i boki pokrywają bryciki adamaszkowe, otwarte z przodu i dopełnione plisowaniem z koronki, naszytem na spódnicy. Na tylnych brytach zakończonych długim trenem podszytym koronkową balejezą i oszytem falbaną układaną w potrójne kontrafałdy, dodane upięcie z brytów prostych oszytych frendzlą. Kokardy ze wstążki w atłasie 4 i 8 cent. szerokiej. Na głowie girlanda z róż ciemno ponsowych.

N. 2. Suknia z bawetowym stanikiem.

Na gładkiej spódniczce z zielonego tiulu, dane są u dołu dwie w kontrafałdy układane 7 cent. szerokie falbanki i 16 cent. szeroka bufa z blado zielonego tarlatanu, wyżej na całej spódniczce naszyte w odstępach 5 cent. zapełnionych bufkami tarlatanowemi, patki atłasowe, zakończone w ząb śpiczasty, mające w górze 6, u dołu 9 cent. szerokości. Prócz tego na przednim i bocznych brytach ułożona jest skośnie lekka draperya tarlatanowa, dopełniona z tyłu upięciem prostych brytów. Gładki stanik z bawetem z blado zielonego atłasu, [illegible]rowany jest przy wykroju szeroką koronką, a [illegible]nach ozdobiony kokardami z atłasowej wstążki. [illegible] atłasowa mufka garnirowana koronką i ozdobiona [illegible]mi z wązkiej atłasowej wstążki.

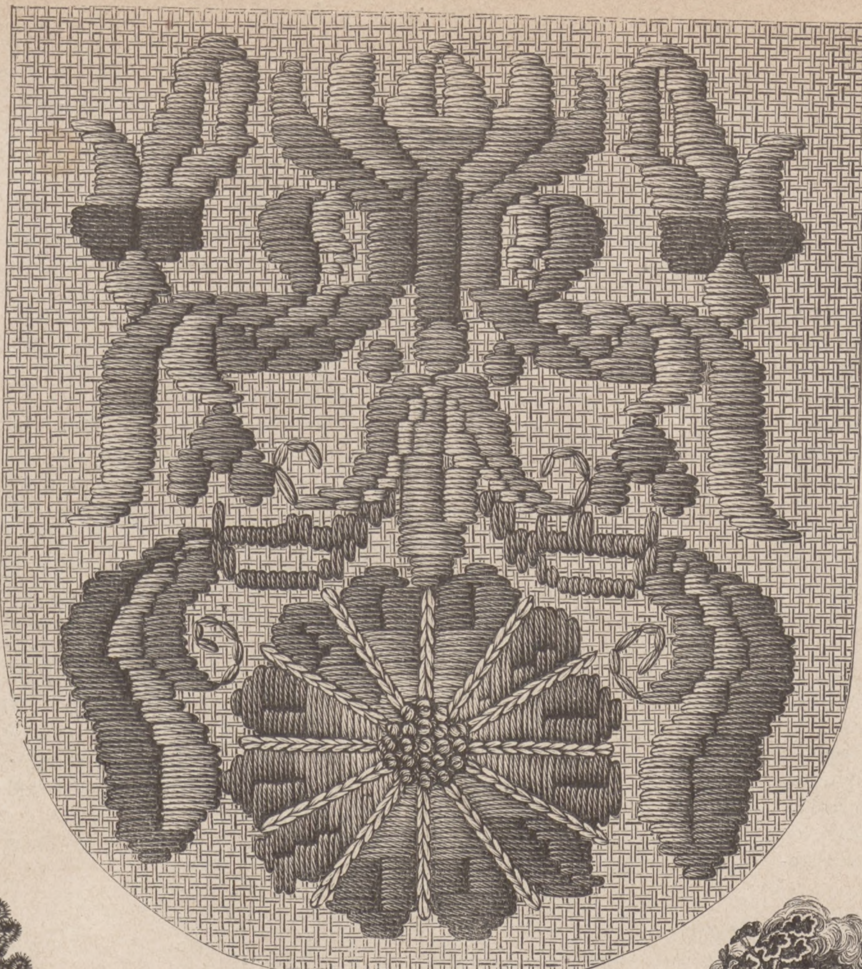
N. 3. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Spódnica z białej tarlatanowej sukni oszyta jest u dołu wąskiem atłasowem plisowaniem, na które zachodzi 23 centym. szeroka



N. 4. Przykrycie na poręcz od krzesła lub sofy. Haft gobelinowy. Patrz rycina 5.

tarlatanowa falbana, naszyta w odstępach 2 cent. 1 cent. szeroka, różową atłasową wstążką, ułożona w potrójne kontrafałdy, a w górze zakończona sutą riuszą. Z przodu dana draperya z długiego, w skośne fałdy ułożonego bryta tarlatanu, naszytego wstążeczką. Z jednego boku dany garnirunek z dwóch suto przymarszczonych, jedna na drugą zachodzących części, oszytych falbaną ułożoną w potrójne kontrafałdy; a cały bok długi naszyty jest wąskiemi, trochę jedna na drugą zachodzącemi fałdowanemi falbankami. Proste tylne bryty spięte są w środku kokardą ze wstążki i kwiatami. Girlanda z róż polnych zdobi brzeg przedniej draperyi długie rękawiczki i wykrój bluzki. Na głowie mały wianeczek z róż polnych.



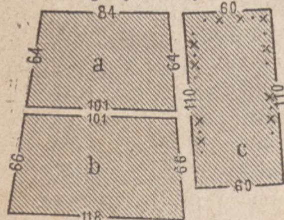
N. 5. Część haftu gobelinowego do ryciny 4.



N. 7. Ubranie sznelowe do kapelusza.



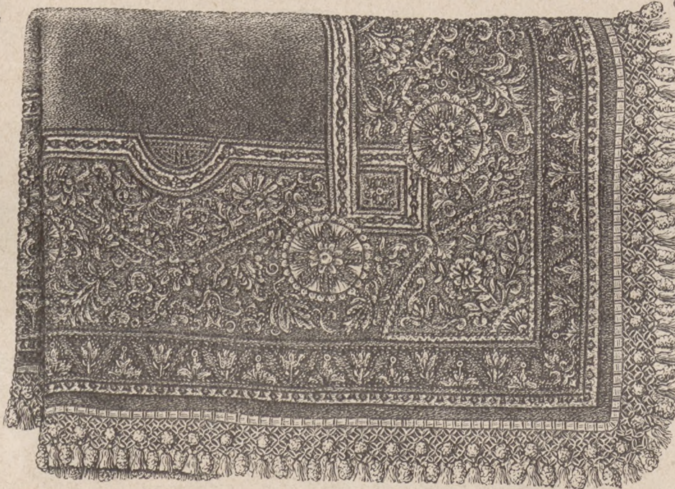
N. 13. Suknia z tuniką odpowiednia przy każdym staniku.



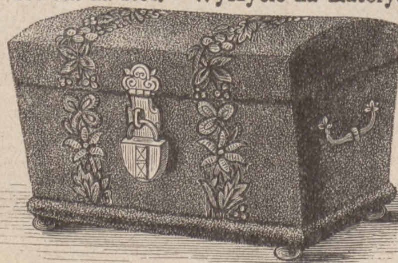
N. 14. Wskazanie kroju do ryc. 13.

N. 4—5. Przykrycie na poręcz do krzesła lub kanapy. Haft gobelinowy.

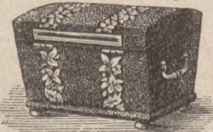
Rycina 5 podaje w naturalnej wielkości próbkę kanwy i jedną figurę desenju, która powtarza się na brzeżnych pasach, zestawiona jedna nad drugą. Haft gobelinowy wykonać trzeba filozelą w starannie dobranych, matowych kolorach; na modelu duże kwiaty, przedzielane w równych odstępach łańcuszkowym ściegiem, robione były naprzemian kolorem brunatnym i łososiowym w trzech cieniach. Grube gałązki nad kwiatami łososiowego koloru robić dwoma cieniami brunatnemi, nad brunatnemi cieniami dwoma lila; liście i drobne gałązki kolorem zielono oliwkowym, a górną figurę desenju cieniem brunstnym i heliotropowym. Na środkowy pas trzeba dobrać deseń odmienny w rodzaju wskazanym na ryc. 4. Trzy i pół cent. szerokie pasy pluszu oliwkowego przedzielają pasy haftowane i stanowią brzegi pokrycia mającego 42 centym. szerokości a 51 długości. Kwiaty jedwabne w mieszanych kolorach zdobią zęby dolne.



N. 9. Serweta na stół. Wyszycie na materyale w deseń kolorowy.



N. 11. Kufereczek na listy. Patrz ryc. 12.



N. 12. Kufereczek na listy. Przód patrz ryc. 11.



N. 6. Ręcznik kolorowy.

N. 6. Ręcznik haftowany.

Na serwetkach do przykrycia stolików i na ręcznikach, najmodniejszy haft stanowią obecnie pojedyncze osoby lub pary w rodzaju podanej próbki na ryc. 6; damy, rycerze, pazowie, gnomy i tym podobne, które haftuje się kolorowo ściegiem sznureczkowym i długim na grubszem, umyślnie na ten cel wyrabianem płótnie, z dodatkiem ozdób arabeskowych i zdań lub przysłów.



N. 8. Ubranko na głowę.

N. 7 — 8. Ubrania sznelowe

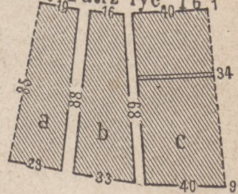
Sznela zajmuje obecnie pierwsze miejsce tak w przozdobieniu sukien jak i przy ubraniu głowy lub kapeluszy; te ostatnie są nawet robione ze sznelowej tkaniny z grubszem z brzegu sznelowem objęciem. Ryc. 7 przedstawia ubranie do kapotki, zrobione z oliwkowo zielonej szneli; na listki służy sznela z drucikiem a jagody przyczepiane są do szneli bez drucika. Na ryc. 8 podajemy ubranie głowy ze szneli, pióra, jesiennych liści i kwiatów.

N. 9 i ryc. 48 w N-rze 5 Tygodnika. Serweta na stół. Wyszycie na kolorowo drukowanym materyale.

Bardzo pospieszną a zarazem modną i efektowną robotę stanowi wyszycie filozelą w odpowie-



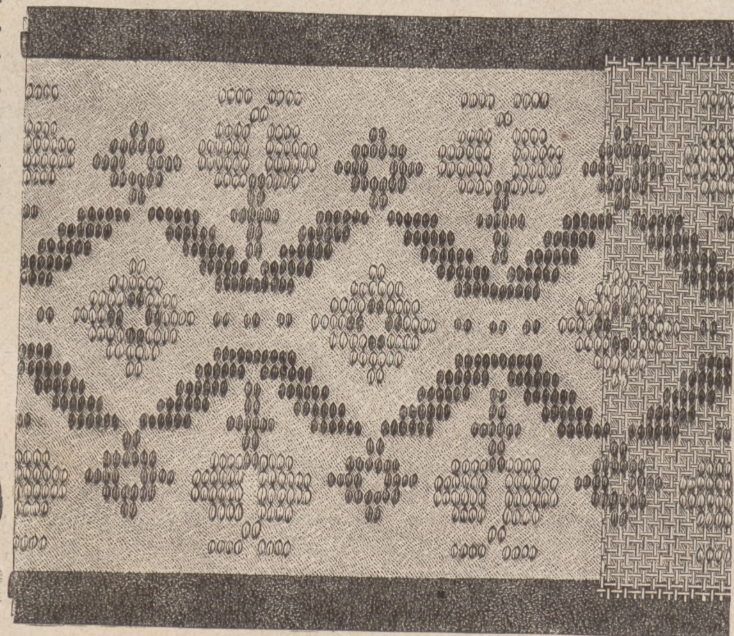
N. 15. Spódnica pod krótkie suknie. Patrz ryc. 16.



N. 16. Wskazanie kroju spódnicy ryc. 15.



N. 17. Trzewik z cienkiej skórki ozdobiony haftem.



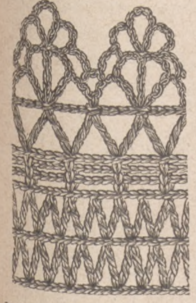
N. 10. Szlak ściegiem gobelinowym.



N. 18. Pantofelek z piaskowego atłasu.



N. 40. Wykonanie brzegu w gwiazdki do ryc. 28—39.



N. 27. Robota szydełkowa na boki do koszyczków ryc. 28—39.

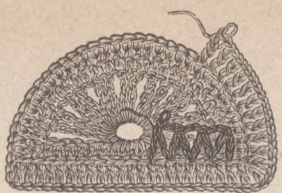
dnich kolorach, na welwecie w deseń kolorowy, którego kontury mocno wytłaczane obwodzi się nowego rodzaju sznureczkami błyszczącemi i mieniącemi się. Sznureczki takie stanowi nić złota, srebrna, stalowa lub miedziana, okręcona jedwabiem kolorowym, który dobiera się odpowiednio do kolorów deseniu i przyszywa cienkim jedwabiem. Model serwety 105 cent. szerokiej a 142 długiej, miał tło gładkie pluszowe a szlaki 34 cent. szerokie, drakowane na welwecie piaskowym. Można jednak nabywać serwety lub portyery z gładkiem tłem i szlakami kolorowemi, wyrabiane w całości z welwetu.

N. 10. Szlak haftowany ściegiem gobelinowym.

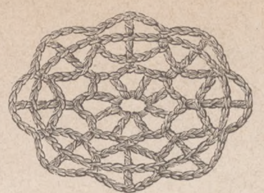
Szlak do mebli, serwet, koszyków lub t. p., robi się z podłożeniem kanwy, na suknie, aksamicie lub pluszu, filozelą w 2-ch kolorach i dwóch cieniach. Wszelki deseń krzyżowy służyć może do takiej roboty, licząc na każden krzyżyk po dwa ściegi.



N. 19. Fartuszek dla dziewczynki. Krój na arkuszu do N-ru 1 i 2. Fig. 81.



N. 23. Wykonanie denka do ryc. 21.



N. 41. Denko do koszyczka ryc. 28 — 39.

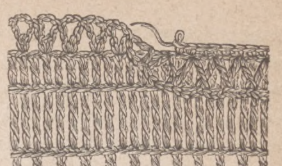


N. 25. Koszyczek szydełkowy ryc. 26 i 27.

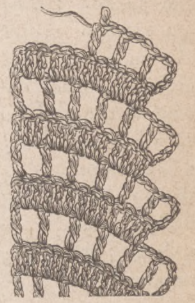
N. 22. Przykrycie do wiszącego koszyczka ryc. 21.



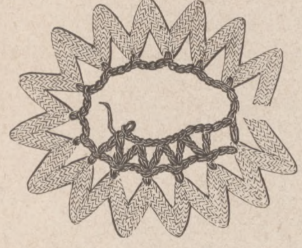
N. 21. Koszyczek szydełkowy ryc. 22—23.



N. 24. Robota szydełkowa na boki koszyczków ryc 28-39.



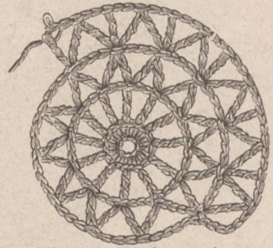
N. 42. Robota szydełkowa na boki do koszyczków ryciny 28—39.



N. 43. Wykonanie denka do koszyczków ryc. 28 — 39.



N. 44. Denko do okrągłego koszyczka. Patrz ryc. 26—39.



N. 26. Wykonanie denka ryc. 44.

N. 11—12. Kuferek na listy ozdobiony haftem.

Drewniany kuferek mający $15\frac{1}{2}$ cent. wysokości, 25 długości, 13 górnej a 9 dolnej szerokości, z wierzchu obity pluszem ozdobionym haftowanemi pasami, z antabami, zamkiem i nóżkami metalowemi, służy do chowania listów i stanowi ozdobę biurka. W tylnej stronie wieka jest otwór okuty, służący do wsuwania listów.

N. 13 — 14. Suknia z tuniką nadającą się do każdego fasonu stanika.

Model odrobiony był z czarnego kaszmiru; na szerokiej plisowanej falbanie, naszyta była skośna, 6 centym. szeroka plisa atłasowa. Suto drapowana tunika, której model i miary dajemy na ryc. 14, oszyta była bogatą frendzlą perełkową. Litera *a* daje górną, *b* dolną część przedniej draperyi. Obiedwie części z boków sfałdowane podchodzą pod bryt tylny, w środku są mocno podpięte rodzajem liści, które układa się z trójkątów mających w prostych brzegach 30 centym. długości. Bryt tylny *c* fałduje się odmiennie z każdego boku, jak to krzyżyki i kropki wskazują, a brzeg dolny puszcza się luźno.

N. 15—16. Spódnica od sukni bez trenu.

Obecnie z trenami spódnice są prawie zupełnie niepotrzebne, bo pod strojne suknie dodają się pod cały tren zachodzące balejezy, jakich model daliśmy na ryc. 29 w N-rze 51 z roku przeszłego. Spódnica ryc. 15, oszyta jest u dołu plisowaniem 5 cent. szerokiem, które pokrywa wolant 21 cent. szeroki, zakończony 10 cent. szerokim, cokolwiek nadmarszczonym haftem, nad którym w odstępach $\frac{1}{3}$ cent. wstębnowane jest 5 rzędów sznurka.



N. 28-39. Różne koszyczki szydełkowe. Patrz r. 21-27 i 40-44.

N. 20. Ubranie marynarskie dla małego chłopczyka.

Model odrobiony był z ciemno granatowego sukienka cienkiego i blado niebieskiej flanelki; ta ostatnia służyła na duży marynarski kołnierz, mankiety i 3 cent. szerokie wyłogi przy krótkich z przodu zapinanych majtkach, przypiętych do spodniego staniczka. Luźną bluzkę wszytą w 2 cent. szeroki pasek, kraje się tak długo, ażeby spadała 8 cent na majtki. Kilka rzędów stębnówki i pozłacane guziczki z kotwicą służą do przyozdobienia.



N. 20. Ubranie marynarskie dla chłopca.

N. 21 — 44. Koszyczki szydełkowe i postument do takowych, jako miła i pożyteczna zabawka dla małych panienek.

Dziewczynki mające trochę wprawy w robotę szydełkową z łatwością odrobią wszystkie koszyczki, w których wykonaniu małe i nieznaczne zachodzą odmiany, dokładnie wskazane na prób-



N. 45. Szlak ściegiem krzyżykowem do serwet i t. p.

kach. Bawełna kordonkowa Nr 30, w kolorze jasno lub ciemno bronzowym, czarnym, popielatym lub słomkowym i ząbki z tasiemeczki stanowią materyał. Dla nadania sztywności pociąga się koszyczki szerlakiem rozpuszczonym w spirytusie, do którego dodać można trochę farby, srebrnego lub złotego proszku. Pociąganie lakierem powtarza się kilka razy, ażeby mógł wszędzie dobrze i równo wsiąknąć w robotę i zachować kształt nadany. Stolik koszykarski odrobić musi stolarz. Wszystkie modele są tak małych rozmiarów, że służyć mogą tylko do zabawy, lecz pożytek przyniosą zachęcając panienki do robót ręcznych.


N. 46. Sukienka princesse dla dziewczynki. Patrz ryc. 37.

N. 46 i 47. Sukienka formą pricesse dla małej panienki.

Szerokie różnemi sposobami upięte szarfy, stanowią najmodniejszą ozdobę sukien, nietylko dla dzieci ale i dla dorastających panienek; robić można z materyi jedwabnej lub wełnianej, albo z bardzo szerokiej wstążki. Przy sukienkach podanych na ryc. 46 i 47, szarfy przykrywają przyszycie krótkiej spódniczki, plisowanej lub przemarszczanej sposobem wskazanym. Obiedwie sukienki zapinane są z tyłu, a przody zdobi plastron przemarszczany, zakończony plisowaniem, z jednego boku ozdobiony kokardami, które zarówno jak podszycie kapturka i mankiety, muszą być z tego materyału co szarfa.


N. 48. Suknia z przemarszczaną tuniką. N. 49. Suknia z szalową draperyą.

w środku przecięta, od góry jednym kawałkiem na drugi założona, u dołu otwarta, a z boków w róg puszczona; część górna zajmująca 40 cent. długości, jest przemarszczana sposobem wskazanym na rycinie. Draperyę górną układa się z bryta prostego. Gładki stanik oprócz małego wykładanego kołnierzyka, zdobi duży aksamitny kołnierz chusteczkowy. Mankiety i plisy przy tunice aksamitne.

N. 49. Ubranie z draperyą szalową.


N. 47. Sukienka princesse dla dziewczynki. Patrz ryc. 46.

Granatowy kaszmir, takiż plusz i atłas, służyły do odrobienia modelu. Spódnica zakończona plisowaniem bardzo szerokiem nad którem dana draperya szalowa z atłasu, mająca u dołu szeroki ranwers pluszowy, z boków podchodząca pod upięcie z bryta prostego atłasowego. Stanik pluszowy z baskiną frakową. Kołnierz i klapki objęte atłasem; krawatka i mankiety atłasowe. Guziczki złocone.

N. 50. Poduszka pluszowa z wyszyciem na welwecie deseniowym.

Pięć kwadracików z kolorowo drukowanego welwetu, mające z brzegów 7 cent. długości, wyszyć podług konturów deseniu ściegiem łańcuszkowym nitką srebrną lub złotą; nakleić na pluszu oliwkowym i przymocować brzegi ściegiem łańcuszkowym. (d. n.)


N. 50. Poduszka do kanapy.


N. 51. Mufka balowa z koronki, wstążki i kwiatów.

N. 48. Suknia z tuniką przemarszczaną.

Bardzo świeży garnirunek spódnicy stanowią cztery falbanki u dołu krytym szwem obrąbione, w górze kilka razy w bufy przemarszczone. Tunika składa się z dwóch zeszytych ze sobą części, z których dolna mająca 46 centym. długości, jest


N. 52. Kapturek z hiszpańskiej koronki. Patrz ryc. 52.


N. 53. Kapturek z hiszpańskiej koronki. Patrz ryc. 52.



Pl. 452.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.